Jedność

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

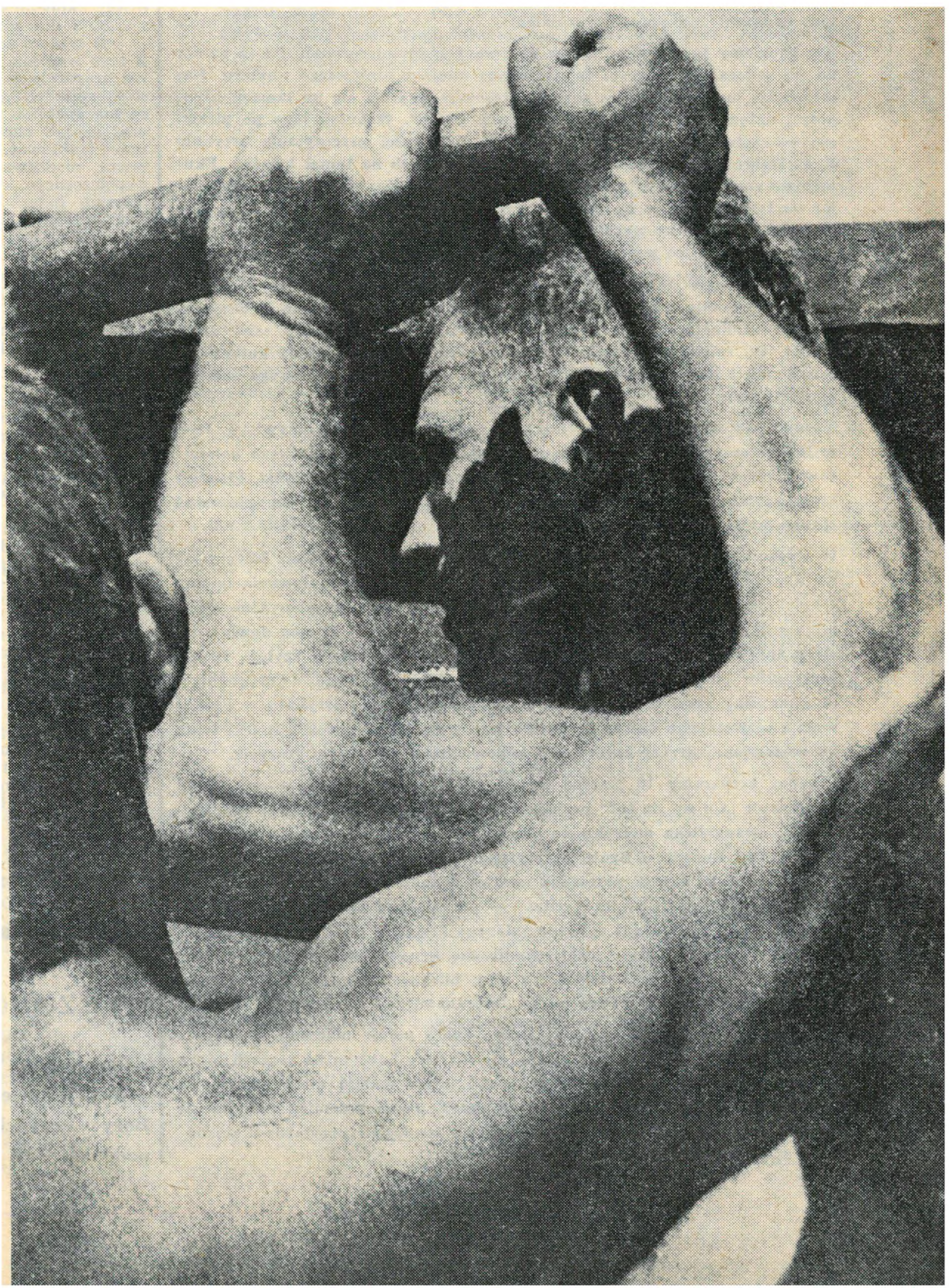

5
78

Rocznik XXII (XXXVI)

CO WY NA TO?

„Jednota" jest nieuczciwa. „Jednota", to znaczy ludzie, którzy ją redagują. Dotychczas uczciwi byliśmy, ale teraz już nie jesteśmy. Takiego zdania jest Rajmund Ładysław Dąbrowski, naczelny redaktor „Znaków Czasu". Stwierdza on, że „dotąd obiektywna »ekumenicznie« i uczciwa »Jednota« pozwoliła na zamieszczenie na swych stronach ataku na Kościół" (Adwentystów DS — przyp. red.).

Powiedzmy więcej — nie tylko pozwoliliśmy, ale nawet zaplanowaliśmy recenzję Karola Karskiego, znając jego opinię o książce „Ekumenizm znakiem czasu" i z tą opinią całkowicie się zgadzając. Każdy autor wydając książkę, sam kładzie głowę pod topór i musi się liczyć z krytyką. Skoro jednym wolno pisać, innym wolno wypowiadać się, co o tym pisaniu sądzą. Dlaczego jednak krytyka książki miałaby być „atakiem na adwentystów", tego doprawdy nie sposób zrozumieć.

Nie będziemy tu poruszać spraw dotyczących samej recenzji, bo to należy do jej autora, który czyni to na innym miejscu niniejszego numeru. Nas interesują inne, ogólniejsze sprawy. Recenzja ukazała się na łamach „Jednoty", natomiast odpowiedź w „Znakach Czasu". Wskutek tego po pierwsze — czytelnicy „Jednoty", nie mając możliwości przeczytania artykułu R. Ł. Dąbrowskiego, trwaliby w błędnych opiniach na temat książki „Ekumenizm znakiem czasu", po drugie — czytelnicy „Znaków Czasu", zapoznając się tylko z tym, co im na temat recenzji zechciał napisać red. R. Ł. Dąbrowski, nie mogliby wyrobić sobie własnego zdania. Pozostałoby im w pamięci jedynie to, że jeszcze ktoś atakuje adwentystów.

Dlatego, kierując się szacunkiem dla Czytelników, nie ograczamy się tylko do zamieszczenia odpowiedzi K. Karskiego, ale jednocześnie drukujemy artykuł zamieszczony w „Znakach Czasu". Niech Czytelnicy sami rzecz ocenią. Do redakcji „Znaków" wysyłamy zarówno wypowiedź autora recenzji, jak i naszą, redakcyjną. Mamy nadzieję, że jedna i druga zostaną opublikowane.

Nasuwa się nam wniosek ogólniejszej natury, choć dość oczywisty. Jeśli w jakimś czasopiśmie ukazuje się artykuł, z którym ktoś zamierza polemizować, niechże wyśle swą wypowiedź do tego samego czasopisma. Przecież kręgi czytelników nie pokrywają się ze sobą. Piszemy o tym, ponieważ sprawa nie jest odosobniona.

W styczniowym zeszycie drukowaliśmy pierwszą część artykułu Mieczysława Kwietnia — „Wolne Kościoły w Polsce". Niektóre sformułowania zostały z kolei niechętnie odebrane w środowisku ewangelicko-augsburskim. Polemika z M. Kwietniem ukazała się w nr. 3 „Zwiastuna". Znowu dowiedzieli się o sprawie nie ci, którzy artykuł o wolnych Kościołach czytali. Dzięki braterskim stosunkom, jakie nas łączą z Redakcją tego dwutygodnika, otrzymaliśmy maszynopis (jeszcze przed ukazaniem się artykułu w druku) wraz z zezwoleniem na zamieszczenie jego treści w „Jednocie". Dzięki temu na postawione zarzuty autor mógł odpowiedzieć już w tym zeszycie.

Hurtem poruszamy tu jeszcze trzecią naszą „winę". Otóż w nr. 3/1978 w artykule „Co wy na to?" przypisaliśmy gen. Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu ewangelicką metrykę, co okazało się nieprawdą. Zareagował na to natychmiast Eugeniusz Szulc, przysyłając materiały dowodowe w tej kwestii. Artykuł E. Szulca przesądza sprawę jednoznacznie. Trochę nam żal, ale trudno — „magis amica veritas" — prawda jest prawdą i musimy się poddać. Nasza wypowiedź ze wspomnianego artykułu traci na „soczystości", ale nawet mimo to może niektórym trochę krwi napsuć generał, bohater narodowy, zrodzony z „kalwinki", a więc blisko spokrewniony z reformowanymi, a na dodatek skoligacony z „luteranami".

Tak więc, jak na nasze warunki, mamy sporą porcję polemiki. Dobrze to czy źle? Musimy przyznać, że nas to nie martwi, bowiem na łamach prasy wyznaniowej brak akcentów kontrowersji, które dodają nieco rumieńców dość bladej zwykle treści naszych publikacji. Jeżeli polemika odbywa się zgodnie z zasadą „fair play", to nie powinna zaszkodzić przyjaznym stosunkom między chrześcijanami.

CO W NUMERZE?

Po monotematycznym numerze kwietniowym, poświęconym w całości Kościołom węgierskim, zeszyt majowy „Jednoty" jest tematycznie zróżnicowany.

Jesteśmy jeszcze w okresie obchodzenia pamiątki zesłania Ducha Świętego. Z okazji tego święta Kościoła Chrystusowego ośmiu prezydentów SRK przygotowało specjalne orędzie, którego tekst publikujemy w całości na s. 5. Maj rozpoczyna się w Polsce świętem ludzi pracy, a dla wielu dorosłych i dla dzieci kończących różnego typu szkoły, i dla młodzieży studiującej — jest czasem wzmożonego wysiłku. Z tego względu kazanie pt. **Właściwe proporcje** (s. 3) poświęcone zostało refleksji nad rolą, jaką praca ma spełniać w życiu wierzącego oraz — jak chrześcijanin powinien pracę traktować. Z kazaniem współbrzmi modlitwa (s. 4) człowieka współczesnego, który pośród stukotu maszyn, hałasu ulicy, zgiełku hal fabrycznych — pragnie wsłuchiwać się i usłyszeć głos mówiącego doń Boga.

Zgodnie z zapowiedzią z nr. 3/78, po miesięcznej przerwie wznawiamy druk materiałów zatytułowanych **Kościół w wierze i w życiu** (s. 6). Z ich autorem, **ks. bp. Janem Niewieczerzałem,** przeprowadziliśmy **rozmowę** (s. 8), do której okazję dała nam przypadająca niebawem 25 rocznica wybrania go na urząd biskupa Kościoła Ewangelicko-Reformowanego.

Ciekawe informacje powinni znaleźć Czytelnicy w dwóch artykułach odnoszących się do wydarzeń już minionych, ale nadal pasjonujących. Jaka jest prawda **o stosunku Kościoła Wyznającego w Niemczech do Karola Bartha** — oto pytanie, jakie postawił sobie autor pewnej książki. Na s. 10 przytaczamy w skrócie jego wersję wypadków sprzed 44 lat. Na inne pytanie: **Czy generał Dąbrowski był ewangelikiem?** — odpowiada na s. 11 Eugeniusz Szulc.

Tak się złożyło, że sporo miejsca musieliśmy przeznaczyć na polemiki. Kogo z Czytelników te sprawy interesują, ten nich zajrzy do rubryki **Co wy na to?,** a później na s. 14—18.

Ponadto, jak zwykle: **O Biblii** (s. 13), **Przegląd ekumeniczny** (s. 18) i **Z prasy** (s. 19—20).

NASZA OKŁADKA:

...Podejmując trud pracy, wypełnia człowiek plan i nakaz Boży: „czyńcie ziemię sobie poddaną..." (Z kazania, s. 3)

Ks. JERZY STAHL

Właściwe proporcje

Nie troszczcie się więc i nie mówcie: Co będziemy jeść? albo: Co będziemy pić? albo: Czym się będziemy przyodziewać? Bo tego wszystkiego poganie szukają; albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Ale szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam dodane. Nie troszczcie się więc o dzień jutrzejszy, gdyż dzień jutrzejszy będzie miał własne troski. Dosyć ma dzień swego utrapienia.

Mat. 6:31—34

Nasza codzienność nie jest łatwa. Niesie z sobą problemy, troski, zmartwienia i szereg różnorodnych doświadczeń, którym nie zawsze potrafimy sprostać. Sprawy materialne, choroba, troska o nieznaną przyszłość, lęk przed zagrożeniami — powodują, że poddajemy się trwożliwemu nastrojowi: co z nami będzie, co przyniesie następny dzień? I oto docierają do nas zaskakujące słowa Jezusa: Nie troszczcie się, nie pytajcie, co będziemy jeść, co będziemy pić, czym się będziemy przyodziewać... Jest to jedno z tych stwierdzeń Jezusowych, które — obok sprawy „policzka" — przysporzają chrześcijaninowi najwięcej trudności, jest to jeden z najjaskrawszych, zdawałoby się, paradoksów Ewangelii. Czy mamy nie myśleć o codziennych potrzebach, czy mamy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż spadnie nam manna z nieba? Jak pogodzić te słowa z poleceniem: „proście (a więc myślcie o tym), a będzie wam dane..." i ze słowami modlitwy: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj..."?

Troska o sprawy materialne jest życiową koniecznością. Zakaz Jezusa nie odnosi się więc do mądrego przewidywania, do właściwych proporcji w zdobywaniu niezbędnych dóbr, lecz do martwienia się ponad miarę, co w konsekwencji prowadzi do ostrych napięć, do przygnębienia i lęku odbierającego radość. Wiadomo, że zamartwianie się — nuży, paraliżuje, zaślepia i zniekształca zdolność właściwego osądu. Gdy myślimy niekiedy o tym, co było, i o tym, co będzie, nie zapominajmy, że częstokroć wyidealizowane „dawne dobre czasy" nie wrócą, a przyszłość — nie w naszych spoczywa rękach...

Jezus wysuwa niezwykle istotny dla nas argument: zbytnie martwienie się charakteryzuje pogan, a więc ludzi nie znających Boga. Jest ono wyrazem nieufności do Ojcowskiej miłości i opieki, jest negowaniem Jego hojności. A On przecież wie, czego potrzebujemy i że potrzebujemy. Pomimo to, trzeba chrześcijanom ciągle na nowo przypominać: „Wszelką troskę swoją złóżcie na Niego, gdyż On ma o was staranie" (I Ptr. 5:7).

Jezus daje nam dobrą radę: nie martwcie się o to, czego nie znacie i co nie w waszych spoczywa rękach; zadowalajcie się dzisiejszym dniem; waszym zadaniem jest przede wszystkim szukanie Królestwa Bożego. Czym jednak jest szukanie tego Królestwa? — zapyta ktoś. Chyba najprościej możemy je określić jako poddanie się woli Bożej i jej konsekwentne wypełnianie. Aby jednak działać na rzecz Królestwa, potrzeba energii, a tej nadmierna troska nie dostarczy. Da nam ją natomiast wiara i zaufanie Temu, który wie, czego potrzebujemy. A działać mamy całym sobą, całym codziennym życiem, także codzienną pracą.

Majowe święto ludzi pracy nasuwać może różne refleksje o roli, wartości i celu ludzkiego mozołu. Wezwanie do dobrej, rzetelnej, uczciwej roboty słyszymy dziś tak często, że zbyteczne byłoby powtarzanie tego jeszcze tutaj. Współczesne — tak bardzo egoistyczne i konsumpcyjne — tendencje rzutują na stosunek dzisiejszego człowieka do pracy: z jednej strony występuje zjawisko gardzenia rzetelną, sumienną i uczciwą pracą, z drugiej — łapanie się każdego zajęcia, wysiłek ponad miarę po to tylko, by obrastać w piórka bogactwa, imponować posiadanymi pieniędzmi i dobrami. Jest to wystarczający powód, abyśmy przypomnieli sobie o godności ludzkiej i dostojeństwie pracy. Odnosi się to zarówno do tych, którzy z rzetelnego trudu czynią parodię pracy, jak i do tych, którzy w pracy całkowicie się zatracają.

Dla chrześcijan wzorem pełnego człowieczeństwa jest zawsze Jezus Chrystus. Ewangelia nie pozostawia wątpliwości, że swoje działanie uważał On za pełnienie woli Bożej. Ale nie tylko Jego dzieło, lecz każda ludzka praca w zakresie, w jakim na miarę naszych możliwości i umiejętności może być wykonywana, też jest pełnieniem tej woli. Obok ziemskiego, świeckiego wymiaru ma ona bowiem i wymiar duchowy, religijny: podejmując trud pracy, wypełnia człowiek plan i nakaz Boży — „czyńcie ziemię sobie poddaną" (I Mojż. 1:28).

W naszej codzienności zaprzeczamy jednak zbyt często dostojeństwu pracy. Wielu z nas traktuje ją wyłącznie jako środek do zaspokajania potrzeb i zapomina, że ma ona być także aktem twórczym. A skoro tak, nie może być wykonywana bezmyślnie i mechanicznie. Nie powinna sprowadzać człowieka do roli bezdusznej maszyny, ale — jak każdy inny przejaw życia — może i powinna rozwijać go i uszlachetniać. Dlatego nie jest i nie powinna być jedynym celem i sensem życia, jak to się niekiedy dzieje, gdy człowiek w niej się zatraca i zapomina o swej godności. Nie człowiek dla pracy, ale praca dla człowieka — ona ma służyć jego utrzymaniu i jego rozwojowi.

Gdy myślimy o godności i dostojeństwie pracy i o wszystkich niebezpieczeństwach, jakie im zagrażają, gdy pytamy o jej sens — przypomina się stara maksyma: „módl się i pracuj". Nie chodzi, oczywiście, o jej znane z historii negatywne rozumienie — o ogłupianie człowieka i sprawianie, by nie miał czasu i chęci na pogłębione myślenie, lecz o jej prawdziwie chrześcijański wymiar: poświęcanie wszystkiego Bogu. Z takiej postawy rodzi się widzenie sensowności i dostojeństwa pracy, która ma służyć Bogu na chwałę, a ludziom na pożytek. Ci, co tak pojmują pracę, nigdy jej nie zlekceważą ani nie uczynią celem samym w sobie. Poświęcając swój trud Bogu i Jemu zawierzając, nie troszczą się nad miarę o to, czego nie znają, a obietnica Jezusa: „wszystko inne będzie wam dodane" — staje się dla nich faktem.

Usiłujemy być chrześcijanami. Skoro tak — pamiętajmy więc, że ludzie wiary spełniają swoje powołanie i obowiązki z radością, pracują i trudzą się z całym spokojem i niezachwianą ufnością, że Bóg ich nie opuści. Kto los swój składa w ręce Boga, temu ani sił, ani chleba nie zabraknie, ten — pewny Bożej łaski — będzie nie z troską i trwogą, ale z ufnością patrzył w przyszłość. I tę radość, ufność, spokój mamy rozsiewać wokół siebie, pokazując innym wartość, sens i piękno codziennego trudu. Wtedy też z dumą będziemy mogli twierdzić za apostołem Pawłem: „z łaski Boga jestem tym, czym jestem, a łaska Jego, okazana mi, nie była daremna, lecz daleko więcej niż oni wszyscy pracowałem, wszakże nie ja, lecz łaska Boża, która jest ze mną" (I Kor. 15:10).

Mów, Panie, mów, niech Cię Twój sługa słyszy

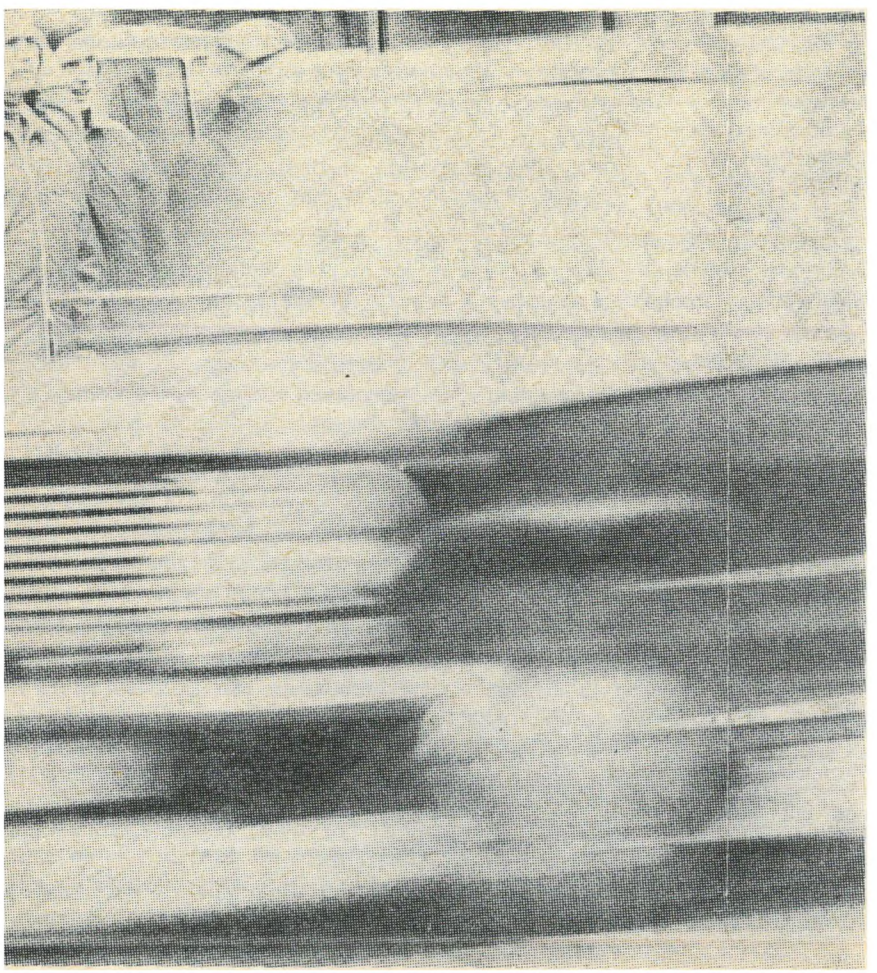

Ja wiem, Panie,
że Ty jesteś
w ryku silników
odrzutowych samolotów,
w pisku opon
hamującego samochodu,
w nieznośnej ilości decybeli
nowoczesnej muzyki,
w wibrującym w uszach
hałasie hali fabrycznej.

Ja wiem, Panie,
bo w swoim czasie
nauczyłem się tego
z Katechizmu Heidelberskiego,
że jesteś wszechobecny,
nawet w piwnicy
po strop pełnej kartofli.
I wiem to na pewno do dziś.

Ale czy wierzę w to,
czy mocno temu wierzę,
gdy lubieżne łapy techniki
wyciągają się do mnie, do nas,
aby wyssać ze mnie
wszystko co najlepsze?

Więc przez zgiełk ulicy,
warkot wszelakich maszyn,
najróżniejsze języki techniki,
które poruszają się
dzięki człowiekowi,
ale tylko za Twoją świętą wolą,
„mów, Panie, mów,
niech Cię Twój sługa słyszy".

Orędzie prezydentów ŚRK
na Dzień Zesłania Ducha Świętego

Bracia i Siostry w Chrystusie!

Jakże często zaczynamy nasze orędzie tym zwrotem! Jeżeli mamy odwagę się nim posługiwać, to jest to niewątpliwie cudem sprawionym przez Ducha Świętego. Możemy się tak do was zwracać dzięki ufności, która pozwala nam wraz z naszym Starszym Bratem mówić do Boga: Abba, Ojcze!

Niewątpliwie coraz lepiej poznajemy się wzajemnie. Coraz bliższe stają się nam twarze chrześcijan z całego świata. Widzimy je w czasopismach i na filmach, w telewizji i na obrazach. Słyszymy ich głosy udzielające wywiadów i składające oświadczenia. Czasem mamy nawet to szczęście, że stykamy się z niektórymi z nich osobiście dzięki jedności, którą obdarzył nas Duch Święty. Dziękujemy Bogu za to, że uczynił widoczną — przynajmniej częściowo — tę wspólnotę, którą nasi przodkowie mogli przeżywać jedynie w wierze. I wraz z Apostołem Pawłem dziękujemy Bogu, ilekroć wspominamy naszych braci i siostry (Flp. 1:3).

Z tych wszystkich powodów łatwiej przychodzi nam modlić się jedni za drugich. Znamy bowiem osobiste losy wielu naszych braci i sióstr. Niektórzy z nich żyją w najskrajniejszej nędzy, inni z powodu wierności Ewangelii znajdują się w więzieniu i zagraża im niebezpieczeństwo śmierci, jeszcze inni są prześladowani tylko dlatego, że występują w obronie braci; są tacy, co zwiastują zwycięstwo Ewangelii, wielu okazuje bliźnim przyjazne serca i udziela pomocy, a jeszcze innych cechuje prorocka mądrość i duchowy zapał.

Czy w okresie świąt Zesłania Ducha nie moglibyśmy przygotować listy tych wszystkich ludzi, miejsc i sytuacji, które jak najwyraziściej uprzytomniają nam wspólnotę braci i sióstr, a potem — wykorzystać tę listę w naszych modlitwach przyczynnych?

Wspólnota, do której wprowadziła nas wiara w Jezusa Chrystusa, otwiera jednak szersze pole dla naszych modlitw: cały wszechświat zanurzony w miłości Bożej. Dzięki tej miłości odczuwamy jedność ze wszystkimi ludźmi i narodami mimo różnic płci, rasy lub klas: pragniemy żyć w wolności i sprawiedliwości, które Duch Święty obiecał całej ludzkości i całemu wszechświatu. Nie ma takiej nadziei, cierpienia i prześladowania, nie ma prawowitych badań lub dokonań ludzkich, które w obliczu Boga nie byłyby naszą własną sprawą. W Duchu Świętym odkrywamy, że informacje prasowe, radiowe i telewizyjne tworzą dla nas kalendarz modlitewny, aktualny brewiarz.

Modlitwa wzmacnia naszą wspólnotę. Oczywiście, musi to być specyficzna modlitwa. Informacje, których wysłuchaliśmy, wywołują w nas często zakłopotanie i przygnębienie. Czy rzeczywiście wiemy, co jest najlepsze dla naszych braci i sióstr w odległych krajach? Czy mamy się modlić o ich większy czy raczej o mniejszy udział w handlu światowym? Czy potrzebna im pomoc w rozwoju, czy raczej radykalna zmiana struktur społecznych? Jak mamy najskuteczniej reagować na nasilającą się przemoc i terroryzm w tak wielu krajach? Odpowiedzi na te pytania — odpowiedzi, których nauczono nas w szkole, odpowiedzi, których dostarczają nam publikatory lub rozpowszechnia opinia publiczna, odpowiedzi, jakich udziela nauka Kościoła — są, łagodnie mówiąc, sprzeczne. Te same zjawiska skłaniają niektórych z nas do modlitwy, innych natomiast oburzają. Nic więc dziwnego, że często bywamy zakłopotani, skoro „nie wiemy, o co się modlić jak należy" (Rzym. 8:26).

Ale Pan wie, czego nam potrzeba. Naszym orędownikiem jest sam Duch. To On ubiera w słowa nasze oderwanie od rzeczywistości, bełkotliwe modlitwy, tak aby mogły dotrzeć do Ojca „jak należy". Modlitwy przyczynne Ducha Świętego możemy więc ufnie kończyć słowem „Amen!". On zbiera wszystkie modlitwy — nasze i naszych braci i sióstr — i włącza je do pełnego miłości Bożego planu zbawienia, planu przygotowanego przez Władcę świata i ludzi.

Gdy modlimy się w taki sposób, wówczas możemy oczekiwać, że Duch Święty naszą modlitwę skoryguje i wprowadzi do niej słowa i prośby naszych bliźnich. Modlić się za innych — to znaczy poważnie traktować korektę wprowadzaną do naszych modlitw przez Ducha Świętego, który zwraca naszą uwagę na potrzeby bliźnich.

Pełna jedność języka, serca i umysłów, nauki i wspólnoty, jaka zaistniała w dzień Zesłania Ducha Świętego, zbyt się rozproszyła, aby mogła się teraz wśród nas uwidocznić. Ale z dnia na dzień coraz lepiej się poznajemy i rozumiemy. A podejmując starania o zrozumiałą modlitwę, słowami podzięki, solidarności i nadziei dajemy wyraz naszej miłości i powierzamy ją opiece Ducha Świętego, który coraz bardziej przybliża tę chwilę, kiedy w nas samych i w całym wszechświecie ujawni się obietnica dana w dniu Zesłania Ducha Świętego.

PREZYDENCI ŚWIATOWEJ RADY KOŚCIOŁÓW

Prezydent honorowy: ks. dr WILLEM A. VISSER'T HOOFT (Szwajcaria)

A. R. JIAGGE, Akra (Ghana)

Prof. JOSE MIGUEZ-BONINO, Buenos Aires (Argentyna)

Metropolita NIKODEM, Moskwa (ZSRR)

Dr T. B. SIMATUPANG, Dżakarta (Indonezja)

Ks. abp OLOF SUNDBY, Uppsala (Szwecja)

Dr CYNTHIA WEDEL, Alexandria, Va (USA).

Ks. JAN NIEWIECZERZAŁ

Kościół w wierze i w życiu

2

Kościół jest jeszcze społecznością wierzących. Powstaje ona wtedy i tam, gdzie człowiek na pytanie, za kogo uważa Jezusa, odpowiada wzorem Piotra: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego". Osoba Jezusa wywołuje bowiem różnorodne reakcje. Jedni mówią, że jest On „dobrym nauczycielem" (Mk. 10:17), inni zaś, że zwodzi lud (Jan 7:12), jest „żarłokiem i pijakiem, przyjacielem celników i grzeszników" (Mat. 11:19). Spośród takiego pomieszania sądów wyróżnia się odpowiedź uczniów, w których imieniu Piotr wyznaje, że jest On dla nich Chrystusem, Synem Boga żywego, a Jego zwiastowanie o przyjściu Królestwa — to Słowo pochodzące od Boga. W Jezusie uczniowie spotykają się z samym Bogiem. Ich wyznanie to echo i odpowiedź na słowa i czyny Jezusa, odpowiedź na to, co od swego Pana przyjęli i czego w Jego obecności doświadczyli.

To, co wydarzyło się między Jezusem i uczniami, powtarza się bezustannie w Kościele: Słowo Ewangelii wywołuje wiarę, wiara zaś zawierza Słowu. I to jest istotny znak Kościoła. W społeczności dwunastu uczniów rozpoczęła się historia, która trwa nieustannie do dziś. Słowami: „Tyś jest Piotr (skała) i na tej skale zbuduję Kościół mój" — Jezus pasuje Piotra na pierwszego członka Kościoła, społeczności wierzących, w której — jak mówi M. Luter — „Duch Święty przez Ewangelię swój lud powołuje, zbiera, oświeca, uświęca i w jednej prawdziwej wierze przy Chrystusie utrzymuje" *(Mały Katechizm,* art. III).

Kościół jest stale odnawiany mocą Ducha Świętego, który budzi wiarę pośród wszystkich słuchających Ewangelii. Poza tym jednak istnieje wszystkich łączący i poprzez historię aż do końca świata przebiegający związek. Związek ten nie wymaga, aby wszyscy wierzący złączeni byli w jednej kościelnej organizacji. Odwieczna więź wiary dana jest w zwiastowaniu Ewangelii przez Słowo i sakrament.

„Naucza się, że po wszystkie czasy będzie istnieć i trwać jeden, święty, chrześcijański Kościół. Jest on zgromadzeniem wszystkich wierzących, wśród których Ewangelia w czystości jest głoszona, a święte sakramenty zgodnie z Ewangelią udzielane" *(Wyznanie Augsburskie,* art. VII o Kościele).

Istotnymi znakami Kościoła są więc: Słowo i sakrament.

W Nicejskim Wyznaniu Wiary zawarte są słowa: „Wierzę w 1) jeden, 2) święty, 3) powszechny i 4) apostolski Kościół". Jak należy rozumieć te określenia?

1) Kościół z natury swej jest jeden, ponieważ chrześcijanie wierzą w jednego Pana. Fakt, że rzeczywistości tej przeczy mnogość różnych wyznań, nie zmienia postaci rzeczy. Duchowa jedność, istniejąca (pomimo wszystkich podziałów) między wierzącymi, domaga się stale widzialnego urzeczywistnienia. Nie musi to być jedna, wszystko obejmująca organizacja. Chodzi o to, że ma to być społeczność poświęcająca się zwiastowaniu Ewangelii, usługiwaniu sakramentami i służbie człowiekowi na wzór Chrystusa.

2) Święty — według biblijnego określenia — oznacza wszystko to, co należy się Bogu. Kościół jest święty, bowiem jest tym miejscem, gdzie Duch Święty zdobywa serce człowieka, przyjmuje je, usprawiedliwia, odnawia i tworzy społeczność świętych. Tym słowem Apostolskie Wyznanie Wiary określa bliżej to, co należy rozumieć pod mianem Kościoła. Z jednej strony myśli się tutaj o społeczności ze świętymi męczennikami, którzy już są z Chrystusem, z drugiej strony — o świętych darach: Ciele i Krwi Chrystusowej w sakramencie Wieczerzy Pańskiej. O ile chrześcijanie te dary przyjmują, o tyle mają społeczność z Chrystusem, który ich łączy. Przez uczestnictwo w świętych darach powstaje społeczność świętych osób. Ta świętość nie wynika jednak z ich własnej, domniemanej, szczególnej zasługi, lecz jedynie z łaski Chrystusa.

3) Słowo powszechny, czyli katolicki, pochodzi z języka greckiego i oznacza cały świat. Mówi ono o tym, że Kościół jest społecznością uniwersalną, obejmującą całą ziemię, przekraczającą granice narodów, ras i klas. Przymiotnik „katolicki" nie odnosi się więc do jednej określonej konfesji, lecz jest znakiem całego Kościoła. Również ewangelicy wyznają, że ich Kościół jest katolicki, czyli powszechny.

4) Kościół jest apostolski (gr. *apostello* — posyłam), gdyż został przez Boga posłany w świat, aby głosił Ewangelię Chrystusową i w ten sposób prowadzi dalej dzieło pierwszych świadków — apostołów. Należy jednak mieć na uwadze podwójne zadanie: wierność pierwotnemu świadectwu apostolskiemu a zarazem przekazywanie Ewangelii w sposób dostosowany do ciągle zmieniających się czasów.

M. Luter w *Dużym Katechizmie* mówi: „Wyznanie Wiary nazywa święty Kościół chrześcijański *communionem sanctorum,* społecznością świętych (...) Wierzę, że na ziemi istnieje święta gromadka ludzi i zbór prawdziwie świętych, którego jedyną głową jest Chrystus, zbór zgromadzony przez Ducha Świętego, trwający w jednej wierze, myśli i przekonaniu, obdarowany różnymi darami, lecz zgodny w miłości, bez podziałów i rozdarcia. I ja jestem jego cząstką i członkiem, współuczestnikiem, mającym udział we wszystkich dobrach, jakie posiada, wprowadzonym i wcielonym do niego przez Ducha Świętego dzięki temu, iż słuchałem i nadal słucham Słowa Bożego, które otwiera do niego wstęp. Albowiem przedtem, zanim to nastąpiło, byliśmy całkowicie własnością szatana, nie wiedząc nic o Bogu i o Chrystusie. I tak, aż do sądnego dnia, pozostanie Duch Święty z chrześcijaństwem, czyli ze zborem świętych, przez który przyprowadza nas do Chrystusa i którym się posługuje, aby Słowo

Boże rozbrzmiewało i było opowiadane. Przez nie zaś sprawia i pomnaża uświęcenie, by zbór codziennie rósł i wzmacniał się w wierze i wydawał owoce, jakie On (Duch Św.) rodzi".

„Wierzymy dalej, że w chrześcijaństwie mamy odpuszczenie grzechów — co dzieje się przez święte sakramenty i absolucję — ponadto zaś różnego rodzaju pociechy, jakimi darzy cała Ewangelia". I jeszcze: „Z tego powodu wszystko w chrześcijaństwie jest tak ułożone, aby codziennie otrzymywać zupełne odpuszczenie grzechów, przez Słowo i sakrament, oraz pocieszać i pokrzepiać nasze sumienie, dopóki tu żyjemy. Jest więc dziełem Ducha Świętego, że chociaż grzeszymy, jednak grzech nam nie może szkodzić, ponieważ żyjemy w chrześcijaństwie, w którym znajdujemy pełne odpuszczenie grzechów, to jest, że zarówno Bóg je nam odpuszcza, jak też i my je sobie wzajemnie odpuszczamy, że się wzajemnie znosimy i pomagamy sobie. Poza chrześcijaństwem jednak, gdzie nie ma Ewangelii, nie ma też ani odpuszczenia, ani uświęcenia. Dlatego wszyscy, którzy szukają i pragną dostąpić uświęcenia nie przez Ewangelię i odpuszczenie grzechów, lecz przez swoje uczynki, wypędzili i wyłączyli siebie samych z chrześcijaństwa".

M. Luter rozróżnia wewnętrzny i zewnętrzny Kościół lub, jak chętniej mówi: chrześcijaństwo. „Chrześcijaństwo (Kościół) oznacza zgromadzenie wszystkich wierzących w Chrystusa na ziemi, tak jak w wierze się modlimy (...) Istota chrześcijaństwa, jego życie i natura nie wyrażają się więc w cielesnym zgromadzeniu, lecz w zgromadzeniu serc w jednej wierze (...) Fundamentem jedności chrześcijaństwa jest Chrystus. To pierwsze, naturalne, zasadnicze, istotne i prawdziwe — co o Kościele chcemy powiedzieć, jest duchowym, wewnętrznym chrześcijaństwem. To drugie — uczynione i zewnętrzne — chcemy nazwać cielesnym, zewnętrznym chrześcijaństwem, nie dlatego jednak, byśmy je od siebie pragnęli oddzielać, lecz byśmy, jak to czyni apostoł, widzieli wewnętrzną i zewnętrzną stronę człowieka (...) W tym zewnętrznym Kościele znajdują się także i obłudnicy. Muszą oni być tolerowani, ponieważ poznać ich może tylko sam Bóg (...) Ów zewnętrzny Kościół znajduje się na tym lub innym miejscu, jest cielesny i widzialny. Kościół jednak, w który stosownie do *Credo* wierzymy, nie jest cielesny ani widzialny, ale jest społecznością albo zgromadzeniem świętych w wierze. Nikt jednak nie widzi, kto jest święty lub wierzący".

Wynika z tego, że prawdziwy Kościół to nie jakaś idea, która egzystuje poza światem, ale obecność w świecie, tyle tylko, że nikt nie jest w stanie policzyć jego szeregów, ponieważ nikt nie może z pewnością rozpoznać wiary innych. Istnieją jednak pewne znaki, po których można w Kościele zewnętrznym rozpoznać istnienie Kościoła duchowego. Tymi znakami są: „chrzest, sakrament Wieczerzy Pańskiej i Ewangelia, a nie Rzym albo inne miejsce (...) Gdzie praktykuje się chrzest i głosi się Ewangelię, nikt nie powinien wątpić, że oto tam są święci, choćby to były dzieci w kołyskach (...) Wszędzie zaś, gdzie głoszone jest Słowo Boże, Bóg nie pozostaje bezczynnym, udziela bowiem swego Ducha Świętego i w ten sposób tworzy duchową społeczność".

Według reformatora przede wszystkim głoszone Słowo Boże jest nieomylnym znakiem istnienia rzeczywistego Kościoła. Widzialny Kościół ma za zadanie Słowo to zwiastować. Grzesznicy, a nawet obłudnicy, muszą być w Kościele tolerowani, jednakże dla ludzi, którzy szerzą fałszywą naukę, miejsca w nim być nie powinno.

Członem łączącym widzialny Kościół z niewidzialnym jest sam Chrystus. Ponieważ Słowo Boże głoszone jest w widzialnym Kościele, w nim też wyrasta wiara. Jeśli więc pragniemy uzyskać zbawienie, musimy do niego należeć.

Ażeby Słowo Boże mogło być głoszone a sakramenty właściwie udzielane, został wg *Augustany* ustanowiony przez Boga urząd kaznodziejski.

Powołując się na I Ptr. 2:9, Melanchton w traktacie *De potestate papae* mówi, że kapłaństwo jest w Kościele powszechne i dlatego ma on „prawo wybierać i ordynować sługi" (69), a opierając się na Efez. 4:8 stwierdza, że Kościół został wzbogacony darami, do których zalicza się pasterzy i nauczycieli ustanowionych po to, by stali w służbie budowania Ciała Chrystusowego. Dla porządku niektórzy zostają powołani na urząd przez Boga ustanowiony i tylko oni są uprawnieni do głoszenia Ewangelii w zborze. Jednakże w szczególnych przypadkach służyć może i laik, stając się w ten sposób sługą i pasterzem innych.

Mówiliśmy dotychczas o Kościele z punktu widzenia nauki Kościoła augsburskiego, opierając się na luterańskich księgach wyznaniowych. Kalwina nauka o Kościele, zbliżona w wielu rysach do poglądów Lutra i Melanchtona, w niektórych momentach wykazuje jednak cechy odmienne. W *Institutio religionis christianae* Kalwin mówi o „prawdziwym Kościele, z którym winniśmy pielęgnować jedność, ponieważ jest on — jako społeczność — matką wszystkich wierzących". Kalwin wie, że Kościół, w którym żyjemy, nie pokrywa się w całości z prawdziwym Kościołem. Kościół jest w takiej mierze naszą matką, w jakiej zachowywany jest w nim skarb Ewangelii w służbie zwiastowania. Bóg ustanowił pasterzy i nauczycieli, by przez nich nauczać swój lud; obdarzył ich szczególnym pełnomocnictwem, nie zaniedbując przy tym niczego, co mogłoby służyć sprawie jedności wiary i dobrego porządku. Przede wszystkim ustanowił sakramenty, o których wiemy, że są koniecznymi środkami utrzymania i utwierdzania naszej wiary. Brzmi to podobnie jak w *Konfesji Augsburskiej* art. 7. Tak też, a nie inaczej, należy rozumieć myśl Kalwina o Kościele, jako o porządku ustanowionym przez Boga. Myśli on przy tym, że Bożą jest wolą, iż rozmawia On z nami za pośrednictwem człowieka. W taki sposób łączy nas z sobą w Kościele. Dlatego „poza Kościołem nie ma zbawienia, gdyż Bóg daje się znaleźć i jest tylko tam, gdzie głoszone jest Jego Słowo".

Zdani przez Boga na taki porządek nauczania i słuchania, uczymy się w ten sposób prawdziwej skromności, ponieważ uzależnia nas On nie tylko od siebie, ale i od ludzi. Tutaj przejawia się Boże miłosierdzie, ponieważ tym sposobem możemy przyjmować Jego Słowo bez obawy zginienia.

Dla chrześcijan taki Kościół jest nie tylko matką wierzących. Poprzez jego służbę stykamy się z mocą Słowa Bożego, a wówczas „spełnia się jednota świętych, budowane zostaje Ciało Chrystusowe, wzrastamy we wszystkich częściach w Tego, który jest Głową, i będziemy jednym".

Cdn.

Rozmowa z Księdzem Biskupem JANEM NIEWIECZERZAŁEM

REDAKCJA: Przed 25 laty Synod Ewangelicko-Reformowany wybrał Księdza na stanowisko biskupa. Objął Ksiądz ten urząd w wyjątkowo trudnych i skomplikowanych warunkach. Czy mógłby Ksiądz Biskup pokrótce scharakteryzować ówczesną sytuację?

KS. BP JAN NIEWIECZERZAŁ: Rzeczywiście był to czas szczególnie trudny. Kościół nasz z różnych przyczyn nigdy nie miał w naszym kraju łatwej sytuacji, a lata powojenne postawiły go przed szczególnie skomplikowanymi zadaniami. Złożyły się na to takie sprawy, jak zubożenie parafii, rozproszenie współwyznawców, straty personalne pośród świeckich działaczy kościelnych i duchownych.

W czasie okupacji zginął cały szereg wybitnych współwyznawców, którzy w międzywojennym dwudziestoleciu aktywnie uczestniczyli w życiu Kościoła i w działalności publicznej. Swą wierność Kościołowi i Ojczyźnie opłacili śmiercią na polach bitew, w obozach koncentracyjnych, w więzieniach i w publicznych egzekucjach. Budynek kościelny i zabudowania parafialne znalazły się w enklawie getta, do której wchodziło się od pl. Bankowego (dziś pl. Dzierżyńskiego). Mieszkańcy tego szczególnego terenu wyglądali przez okna plebanii z jednej strony na zamieszkałą przez ludność żydowską ul. Leszno (dziś Świerczewskiego), z drugiej strony na rejon Nalewek z pobliskim Pawiakiem i zajętym przez żandarmerię niemiecką dawnym szpitalem przy ul. Karmelickiej. Z tego punktu Niemcy ostrzeliwali w czasie Powstania teren parafialny. Na moich oczach zginął wówczas od ich kul długoletni, zasłużony sekretarz Konsystorza, Stanisław Bretsch, którego pochowaliśmy na skwerku przed kościołem. Zginął wówczas także szereg mieszkańców sąsiedniego domu przy ul. Leszno 22.

RED.: Którzy duchowni pracowali wtedy w warszawskiej parafii?

Ks. J. N.: Ks. Stefan Skierski, superintendent Kościoła od 1932, był zarazem proboszczem parafii. Gorliwy patriota, rozmiłowany w polskiej tradycji reformacyjnej, swym krasomówczym talentem i odważnymi kazaniami ściągał na nabożeństwa licznych słuchaczy bez różnicy wyznania. Drugim proboszczem był ks. Ludwik Zaunar, który poprzednio pracował w Łodzi, gdzie wybudował kościół. Dążył on do uaktywnienia świeckich, do rozwoju różnych dziedzin życia kościelnego i do unowocześnienia metod pracy religijnej. W ostatnich przedwojennych latach był redaktorem założonego w 1926 przez ks. S. Skierskiego czasopisma „Jednota". Należał do ścisłego grona działaczy ekumenicznych w czasie okupacji i był współautorem tzw. Konfesji Polskiej, która miała się stać podstawą doktrynalną jednego Kościoła ewangelickiego w wolnej Polsce. Wywieziony z Powstania, zmarł w obozie koncentracyjnym w Dachau, w lutym 1945. Z parafią warszawską związani byli poza tym księża: dr Emil Jelinek, sekretarz Związku Szkół Niedzielnych w Polsce, oraz Roman Mazierski, katecheta i późniejszy kapelan WP, który po uwolnieniu z oflagu zaopiekował się współwyznawcami na obczyźnie i zmarł jako duszpasterz zboru reformowanego w Londynie. Drugi kapelan WP, ks. Jan Potocki, zginął zamordowany w 1940.

Przypominam te sprawy dlatego, żeby przybliżyć nieco obraz tych dramatycznych lat, który może być w pewnym stopniu ilustracją przejść i doznań całego Kościoła reformowanego. Oczywiście, to tylko cząstka wydarzeń, jakie odbiły się na naszej sytuacji we wczesnych latach powojennych. Wojna i okupacja pozostawiły po sobie w całym kraju ruiny nie tylko materialnego charakteru. Kościół nasz nie był pod tym względem wyjątkiem. Jedyną mocą Kościoła jest Bóg w Jezusie Chrystusie, przeto uciszywszy w końcu

trwogę, niepokój i małowierność, natchnął tych, co pozostali, siłą do dzieła odbudowy Kościoła. Dziś trudno nawet uwierzyć, że na miejscu, gdzie teraz stoją budynki i toczy się wartkie życie wielkomiejskiej dzielnicy, w 1945 rozciągała się pustynia gruzów i kikuty wypalonych zabudowań. W gruzach legła zbudowana w 1776 plebania z oficynami i z tego samego roku pochodzący pierwszy reformowany kościół warszawski oraz inne domy parafialne. Pośród tej pustynnej martwoty, jak wyznanie wobec śmierci i zniszczenia, stał ze wznoszącą się ku niebu wieżą, postrzelany, okaleczony, na wpół zrujnowany kościół, który stać się miał pierwszym azylem dla znękanych rozbitków. W jego wypalonych i poczerniałych murach, po przeszło półrocznej przerwie, rozpoczęły się w lutym 1945 na nowo nabożeństwa. Należy przypomnieć, że od chwili spalenia we wrześniu 1939 kościoła św. Trójcy przy pl. Małachowskiego, nabożeństwa bratniego zboru ewangelicko-augsburskiego odbywały się w naszym kościele aż do listopada 1956. Jako wyraz braterstwa i wspólnej doli i niedoli obu parafii Konsystorz Ewangelicko-Reformowany ofiarował Parafii św. Trójcy egzemplarz Biblii Brzeskiej, pomnikowe dzieło polskiej Reformacji, drukowane w 1563. Ks. superintendent Stefan Skierski zmarł w 1948. Po nim stanowisko superintendenta piastował zmarły w 1952 ks. lic. Kazimierz Ostachiewicz, zaś na Synodzie w 1953 stanowisko to powierzono mnie, ówczesnemu proboszczowi warszawskiej parafii i radcy Konsystorza.

RED.: Czy mógłby Ksiądz Biskup przypomnieć najważniejsze wydarzenia, które zaszły w życiu Kościoła podczas minionych 25 lat?

KS. J. N.: Minione dwudziestopięciolecie obfitowało w szereg ważnych wydarzeń, choć nie jest łatwo wymienić je w jakiejś hierarchicznej kolejności. Niewątpliwie istotnym faktem stało się dla Kościoła opracowanie nowego Prawa Wewnętrznego, zasadniczej normy prawnej regulującej działalność Kościoła. Zostało ono zatwierdzone przez władze państwowe w 1968. Do ważnych momentów można by zaliczyć gruntowny remont kościoła w Warszawie oraz odzyskanie odbudowanego przez państwo zabytkowego budynku parafialnego, tzw. pałacu Zuga, który stał się siedzibą władz kościelnych i parafialnych, a przez kilkanaście lat gościł także biura Polskiej Rady Ekumenicznej. Ważnym wydarzeniem było także nabycie obiektu w Józefowie, gdzie powstał Dom Opieki. W skali ogólnokościelnej na uwagę zasługuje przeprowadzenie kapitalnych remontów budynków kościelnych i zborowych w szeregu parafii, z ofiarnym współdziałaniem Konsystorza i Kolegiów Kościelnych w poszczególnych placówkach.

Do wydarzeń innej już natury należy zorganizowanie w 1960 wystawy „Reformacja w Polsce", obchody jubileuszowe 400-lecia wydania Biblii Brzeskiej w 1963, sesja europejskiego oddziału Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych w 1965, wreszcie uroczystości 200-lecia parafii warszawskiej w 1976, upamiętnione specjalnym numerem „Jednoty".

RED.: Wznowił Ksiądz w 1957 redagowanie „Jednoty" po wywołanej wojną i przeciągającej się na okres osiemnastu lat przerwie. Jakie cele przyświecały w tym Księdzu?

KS. J. N.: Jak już wspomniałem, „Jednotę" powołał do życia w 1926, ks. Stefan Skierski. Tytuł pisma nawiązywał do dawnej nazwy Kościoła reformowanego, który dzielił się na Jednoty: Małopolską, Wielkopolską i Litewską, a wyrazem ich wspólnoty były Synody Generalne. Pismo miało kultywować polską tradycję reformowaną, informować społeczeństwo o życiu Kościoła i zacieśniać więź między współwyznawcami. Pragnąc dotrzeć do rozproszonych współwyznawców i poinformować ich, co się dzieje w Kościele, w 1949 rozpocząłem jako proboszcz warszawskiej parafii wydawanie na powielaczu sporadycznie ukazującego się biuletynu, także pod nazwą „Jednota". We wrześniu 1957 odważyłem się, za zgodą Konsystorza, rozpocząć drukowanie pisma miesięcznego o tej samej nazwie, w formie mniej więcej takiej, jak obecnie. Miesięcznik zaopatrzyłem podtytułem stwierdzającym, że jest on poświęcony sprawom ewangelicyzmu polskiego i ekumenii. Miał on zaspokajać potrzeby powojennego protestantyzmu polskiego oraz służyć ideom ekumenicznym, tkwiącym w naszej tradycji kościelnej. Dla podkreślenia ogólnoewangelickiego charakteru pisma zaprosiłem do współpracy ks. Ryszarda Trenklera, proboszcza ewangelicko-augsburskiej parafii św. Trójcy w Warszawie, który pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego.

Jako pierwszy powojenny redaktor, a obecnie czytelnik „Jednoty", z największą życzliwością śledzę poczynania redakcji i pragnąłbym, aby to pismo w jak najlepszy sposób mogło służyć naszym współwyznawcom ,a także społecznemu zapotrzebowaniu. Z własnego doświadczenia wiem, jak trudno przy skromnych łamach publikacji zaspokoić najsłuszniejsze nawet wymagania odbiorców. W każdym razie „Jednota" spełni swe zadania, jeśli jej tematyka będzie odzwierciedlać problemy współczesnego człowieka w świetle Ewangelii Chrystusowej, a treść podawana będzie w możliwie jasnej formie. Spełni swe zadanie, jeśli będzie siać idee pokoju, sprawiedliwości, wolności i miłości, a więc te wartości, jakimi winien służyć Kościół Jezusa Chrystusa. Tego życzę redakcji z całego serca.

RED.: Jesteśmy bardzo niewielkim Kościołem. Jaki jest sens istnienia tak małej wspólnoty chrześcijańskiej? Czy potrafimy w tej sytuacji wnieść jakiś wzbogacający udział do ruchu ekumenicznego? Czy ruch ten nas samych wzbogacił o jakieś wartości?

KS. J. N.: Nie możemy ani nie doceniać, ani przeceniać jakiejkolwiek liczby. Są sytuacje, kiedy duża liczba członków stanowi istotną pomoc przy spełnianiu posłannictwa Kościoła, ale i mała społeczność może wykonywać wiernie rolę świadków Chrystusowych pośród ludzi. Chrześcijańska skromność i chęć stałego doskonalenia swej służby winna towarzyszyć każdemu Kościołowi, niezależnie od jego wielkości. Każdej małej społeczności zagraża niebezpieczeństwo wewnętrznej izolacji i zamknięcia się wobec liczebniejszych partnerów i otaczającego świata. To zaś z kolei może wywołać przekonanie o wyjątkowej roli i szczególnym posłannictwie, co może prowadzić do pojawienia się postaw sekciarskich. Jestem przekonany, że również ta najmniejsza społeczność chrześcijańska może być ważnym elementem wspaniałej budowli Kościoła Chrystusowego, o ile jej członkowie „jak żywe kamienie" budować się będą w dom duchowy przez Jezusa Chrystusa (I Ptr. 2:5). O tym zaś, czy jakaś grupa może zasługiwać na miano „żywych kamieni" decyduje według mego mniemania głębia wiary, szacunek i miłość do ludzkiej istoty, otwarta postawa wobec bliźniego i wreszcie stałe dążenie do coraz doskonal-

szego naśladowania Pana Kościoła. Takie cechy, pielęgnowane w małych społecznościach, mogą stanowić nie tylko o ich wartości, ale także stać się inspirującymi bodźcami dla środowisk liczniejszych.
Strzeżmy się zarówno kompleksu małej liczby, jak i wyznaniowej zarozumiałości czy snobizmu. W każdym wyznaniu tkwi tęsknota do jedności Kościoła. Kościół reformowany, jako żywa społeczność wyznawców Jezusa, którym Bóg powierzył różnorodne talenty dla wzajemnego sobie nimi usługiwania, powołany jest też do wykorzystania ich w dziele budowania jednego, świętego, powszechnego, apostolskiego Kościoła. To dynamiczne rozumienie służby chrześcijańskiej, pozbawione konfesyjnej wyłączności, stwarza możliwość głębszego angażowania się w działalność ekumeniczną bez obawy sprzeniewierzenia się wyznaniowej doktrynie. Przeciwnie, jako ewangelicy reformowani, świadomi granic ludzkiego poznania tajemnic Bożych, gotowi jesteśmy z chwilą przekonania nas o niesłuszności naszych poglądów, przyjąć to, co jest dla sprawy Kościoła lepsze i słuszniejsze, a zgodne z wolą Boga wyrażoną w Piśmie świętym. Póki co, pragniemy służyć ludziom tym, co mamy, dla zacieśniania więzi chrześcijańskich, wierząc — za przykładem pioniera ekumenizmu, biskupa Charlesa Brenta — że „Duch Boży chce nami kierować tak, by nasze życie i działanie były zgodne z Jego wolą. On sam spowoduje, że kiedy spełni się czas, w sposób, który tylko On zna, niemożliwe dla nas uczyni możliwym i ziści chrześcijańską nadzieję na nadejście dnia, kiedy będzie jedna owczarnia i jeden Pasterz".
Głębokie, z wiary płynące rozumienie naszej roli jako narzędzia Bożego w służbie Kościoła, winno nam towarzyszyć we wszelkich poczynaniach. Im lepiej poznamy wielkość Bożego miłosierdzia, tym skromniejsi i wierniejsi będziemy w spełnianiu Jego woli. Odnosi się to zarówno do naszych starań o piękno duchowe naszego własnego Kościoła, jak do utraconej jedności wyznawców ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Pana, jak i chrześcijańskiej troski o los każdego bliźniego. Dzięki dzieleniu się posiadanymi darami stajemy się także podatniejsi na zrozumienie, że i my sami i nasz Kościół musimy stawać do służby światu tęskniącemu za godnym człowieka życiem, sprawiedliwością i pojednaniem.

Red.: Dziękujemy za interesującą rozmowę.

Karol Barth a Kościół Wyznający

Kościół Wyznający, uchodzący dotychczas za symbol ewangelickiego oporu wobec Trzeciej Rzeszy, zaczyna obecnie jawić się w nieco innym świetle, przynajmniej jeśli chodzi o lata 1934—1935. Hans Prolingheuer, 47-letni pedagog i teolog z Kolonii, twierdzi, że Karola Bartha, jednego z najwybitniejszych teologów bieżącego stulecia i ojca Barmeńskiej Deklaracji Teologicznej (1934), wypędził z Niemiec nie Adolf Hitler, lecz sam Kościół Wyznający.

Tę sensacyjną tezę zawarł w książce „Der Fall Karl Barth 1934—1935. Chronologie einer Vertribung" (Przypadek Karola Bartha, 1934—1935. Chronologia pewnego wypędzenia), która w grudniu ubiegłego roku znalazła się na rynku księgarskim w RFN. Fakty, które Prolingheuer zestawił w oparciu o całkiem nieznane dokumenty, rzucają cień na dotychczasową opinię o świetlanej przeszłości Kościoła Wyznającego. Sam Eberhard Bethge, znany biograf Dietricha Bonhoeffera, oświadczył bezpośrednio po ukazaniu się książki, że należy dokonać demitologizacji Kościoła Wyznającego, bowiem fakty wydobyte przez Prolingheuera mówią same za siebie.

Prolingheuer twierdzi, że Karol Barth — osobistość nietykalna dla państwa hitlerowskiego, dzięki zdobytej międzynarodowej sławie — nie odmówił, jak dotąd na ogół się przyjmuje, przysięgi na wierność Führerowi w 1934, lecz zażądał jej uzupełnienia, a od Kościoła Wyznającego — teologicznego uzasadnienia. Pierwsze żądanie było nie do przyjęcia dla narodowego socjalizmu, drugie — Kościół Wyznający uznał za zbyt wielkie ryzyko, czyli mówiąc wprost: nie chciał dodatkowych zatargów z Hitlerem z powodu tej przysięgi.

Na rozkaz Berlina rektor Uniwersytetu w Bonn, Hans Naumann, zawiesił Bartha w czynnościach profesorskich, czego skutkiem był również zakaz wygłaszania kazań w zborze bońskim, w którym profesor sprawował funkcję prezbitera. Jesienią 1934 drugi Synod Kościoła Wyznającego w Berlinie-Dahlem wybrał Karola Bartha w skład 6-osobowego kierownictwa Rady Braterskiej Rzeszy. Jednakże tylko bardzo krótko mógł on sprawować ten urząd, bowiem biskupi luterańscy — August Marahrens (Hanower), Hans Meiser (Monachium) i Theophil Wurm (Stuttgart) — obiecali Hitlerowi „dobre sprawowanie się" i w listopadzie 1934 utworzyli, już bez Bartha, 5-osobowe doraźne kierownictwo kościelne pod przewodnictwem Marahrensa.

Zdradzony w ten sposób i osamotniony profesor musiał się jeszcze bronić w Bonn przed stałymi denuncjacjami. Zaledwie kilku profesorów, ale za to ponad 200 studentów teologii, stanęło po jego stronie. Hitler dowiedziawszy się, że Kościół Wyznający nie popiera już Bartha, polecił Ministerstwu Wyznań Religijnych Rzeszy, aby podjęło ostrzejsze kroki i wszczęło przeciwko profesorowi postępowanie dyscyplinarne.

Szeregowi członkowie Kościoła Wyznającego nadal popierali Bartha i domagali się od tymczasowego kierownictwa kościelnego, aby stanęło w obronie prześladowanego. Na próżno. Wielu bowiem ówczesnych działaczy kościelnych miało — jak twierdzi Prolingheuer — nadzieję, że pozbędą się Bartha „w przyzwoity sposób".

20 grudnia 1934 zapadł w Kolonii wyrok sądowy pozbawiający Bartha obywatelswa niemieckiego, które — obok szwajcarskiego — posiadał automatycznie jako pruski urzędnik. Pod-

czas gdy gazety niemieckie podawały jednostronne i sfałszowane informacje o całej sprawie, a tzw. niemieccy chrześcijanie (Deutsche Christen) triumfowali, iż „papież z Bonn" nie może już dłużej wykładać, opozycja wzmogła działalność. Rada Braterska Rzeszy, obradująca na początku 1935 w Bad Oeynhausen, stanęła w obronie Bartha. Potem nastąpiły dalsze inicjatywy.

Istniała nadzieja, że uda się zatrzymać Bartha w Niemczech i przekonać go, aby nie przyjmował funkcji profesora na uniwersytecie w Bazylei. Barth, który sam chciał zostać, aby w ciężkich chwilach okazać solidarność z protestantyzmem niemieckim, daremnie czekał na słowo zachęty ze strony kierownictwa Kościoła Wyznającego. W tym czasie założył w wyższym sądzie krajowym w Berlinie apelację od wyroku sądu kolońskiego. W marcu 1935 Synod Pruski poparł Bartha w kwestii przysięgi i postanowił ogłosić tę decyzję z ambon. Spowodowało to aresztowanie 715 pastorów, ale większość z nich wkrótce zwolniono z powodu zgiełku, jaki powstał w zborach.

Trzeci Synod Kościoła Wyznającego w Augsburgu, dzięki przemyślnym zabiegom bp. Meisera, odbył się bez Bartha. Hitler, który od miesięcy kazał dostarczać sobie systematycznych informacji o „przypadku Bartha", uhonorował to postępowanie: w Synodzie uczestniczył oficjalny przedstawiciel państwa nazistowskiego, który poinformował o zwolnieniu ostatnich 24 aresztowanych pastorów.

A w Berlinie stał się w tym czasie cud: instancja odwoławcza uchyliła wyrok koloński i uniewinniła Bartha z najważniejszych zarzutów. Minister wyznań religijnych Rzeszy, Rust, wpadł w szał i — powołując się na zarządzenia oszczędnościowe — wydał decyzję o przeniesieniu Bartha na emeryturę z roczną pensją państwową 5614 marek plus dodatek na dzieci.

Czołowi przedstawiciele Kościoła Wyznającego nadal milczeli. Ojciec Barmeńskiej Deklaracji Teologicznej stał się dla nich nieznośnym ciężarem. Zrezygnowany (Bethge mówi o rozczarowaniu) Barth przyjął stanowisko profesora w Bazylei i 6 lipca 1935 opuścił Niemcy.

Dalsze dzieje kontrowersji między Hitlerem a Kościołem Wyznającym wykazały, jak słuszna była postawa przyjęta przez Bartha wobec roszczeń państwa nazistowskiego. W 1935 przywódcy Kościoła Wyznającego sądzili jeszcze, że zręczną taktyką uda się coś uratować, że nie będzie tak źle. A Bartha poświęcili na ofiarę.

Opr. K. K.

EUGENIUSZ SZULC

Czy generał Dąbrowski był ewangelikiem?

W marcowym numerze „Jednoty" w artykule pt. „Co wy na to?" (s. 2) poruszono między innymi ciągle jeszcze, niestety, u nas pokutujący pogląd, iż Polak musi być katolikiem. Dla wykazania bezsensu tego powiedzenia posłużono się nazwiskiem generała Jana Henryka Dąbrowskiego, którego postać wraz z szeregiem innych zasłużonych Polaków wyznania ewangelickiego „nie trudno jest każdemu jako tako wykształconemu człowiekowi wyliczyć na poczekaniu". Jednak zgodnie z zasadą starożytnych „amicus Plate, sed magis amica veritas" należy stwierdzić, iż nasz bohater narodowy, gen. Jan Henryk Dąbrowski, był katolikiem przez całe życie.

Nie wiem, od jak dawna owa mylna informacja na temat ewangelickiego pochodzenia generała Dąbrowskiego pokutuje w protestanckiej literaturze. Najstarsze znane mi doniesienie w tej sprawie znalazłem w pracy ks. A. Schoeneicha: „Krótka historia Kościoła Chrześcijańskiego", w której autor dla potwierdzenia swej tezy o szybko zachodzącym procesie polonizacji napływowego, niemieckiego i ewangelickiego żywiołu, przytacza szereg nazwisk powszechnie znanych. Znajdujemy tam nazwisko generała Dąbrowskiego, dyktatora powstania styczniowego — R. Traugutta, historyka i męża stanu Lelewela, generała J. Hauke-Bossaka i innych. Za księdzem Schoeneichem bezkrytycznie powtarzano tę listę nazwisk już w okresie międzywojennym oraz współcześnie. A przecież wśród przytoczonych tam nazwisk obok zasłużonych Polaków, będących protestantami, znaleźli się, niestety, również wyznawcy Kościoła rzymskiego, w pierwszym rzędzie Traugutt i Dąbrowski. Przykład tego ostatniego został jeszcze i dlatego niewłaściwie przez ks. A. Schoeneicha wybrany, iż, jak zobaczymy, rodzice jego nie byli pochodzenia niemieckiego, a więc nie mogli być objęci procesem asymilacji Niemców w XVIII wieku.

Jan Henryk Dąbrowski przyszedł na świat w rodzinie polskiej o starych tradycjach rzemiosła wojennego. Jego dziadek, Jan Dąbrowski, który brał udział w wiedeńskiej wyprawie króla Sobieskiego, miał stryja będącego opatem cystersów w Oliwie w czasach Augusta Mocnego. Spośród trzech synów owego Jana, którzy ukończyli seminarium jezuickie w Lublinie, dwaj poświęcili się stanowi duchownemu, jedynie najmłodszy, Jan Michał (1718—1779), przyszły

ojciec naszego generała, obrał karierę wojskową. Jako major w wojsku saskim poślubił w 1750 Zofię Marię Lettow, córkę pułkownika a wkrótce generała gwardii koronnej, Krystiana Lucjana Lettowa (zmarłego 1759) oraz Ludwiki z Alanów (zmarłej 1779).

Zarówno Alanowie jak i Lettowowie pochodzili ze szkockich emigrantów i wyznawali kalwinizm; ci ostatni zresztą przed kilkoma wiekami osiedlili się na Litwie; znana jest nam postać lekarza króla Zygmunta III, Macieja Lettowa, którego syn, Maciej, był lekarzem Radziwiłłów. Generał Dąbrowski wspomina w swej autobiografii, iż ród jego dziadka zmuszony był za panowania Zygmunta III opuścić rodzinną Litwę na skutek prześladowań religijnych i osiąść na Pomorzu. Warto dodać, iż Alanowie z kolei spokrewnieni byli z rodziną słynnego generała Miera (którego nazwisko do dzisiaj związane jest z nazwą sali zamkowej w Warszawie oraz koszarami, a obecnie halami targowymi), zresztą również emigranta szkockiego i protestanta. Tak więc nasz przyszły bohater narodowy miał, jak pisze historyk Skałkowski, „w krwi po matce kalwińską surowość w pojęciu obowiązków". Jak różnie można się ustosunkować do tego samego faktu, świadczy cytat z kazania wygłoszonego przez księdza katolickiego N. Cieszyńskiego w setną rocznicę śmierci Dąbrowskiego: „Maleńki chłopczyna, co z mlekiem matki kalwinki obce (!) ssał w siebie moce". Oboje dziadkowie ze strony matki trzymali Jana Henryka do chrztu w kościele katolickim w Niegowieci, powiat bocheński.

Matka odumarła go, gdy miał zaledwie dwa lata, i pochowana została na cmentarzu reformowanym koło Osieka w Lubelskiem (Skałkowski mylnie umieszcza Osiek w powiecie błońskim koło Warszawy). Jan Henryk Dąbrowski znał swą rodzicielkę jedynie z opowiadań rodzinnych, lecz mimo to żywił dla niej gorące uczucia przez całe swe życie: nosi na palcu jej pierścień ślubny, postara się przekazać pamięć o niej swym własnym dzieciom, a nawet na krótko przed śmiercią pojedzie do Pierzchowiec, wówczas na terenie Galicji położonych, dawnego miejsca pobytu jej rodziny.

Dzieci, pozbawione wskutek jej śmierci opieki — bowiem ojciec, Jan Michał Dąbrowski, przebywał ustawicznie wraz ze swym pułkiem w Saksonii — zostały umieszczone u krewnych. Obie siostry Jana Henryka, Ludwika Krystyna i Aleksandra Zofia, które na życzenie matki zostały wychowane w wyznaniu reformowanym, oddane zostały do Warszawy pod opiekę brata zmarłej matki, Ludwika Henryka Lettowa, wyższego oficera gwardii koronnej, zmarłego w 1790 w randze generała i pochowanego na cmentarzu reformowanym w Warszawie. Jan Henryk natomiast został umieszczony w domu swej ciotki Aleksandry, siostry jego zmarłej matki, która poślubiła pułkownika Ludwika Kępińskiego.

Mając zaledwie 11 lat zostaje Jan Henryk zabrany przez ojca do Saksonii i będzie w tym obcym dla siebie środowisku przebywał przez 26 lat, aż do 1792. Ciekawe, iż do tego momentu nie znał on w ogóle języka niemieckiego i dopiero przebywając wśród Sasów uległ silnemu wpływowi ich języka i literatury, skutkiem czego „już do swej śmierci nie odzyska zupełnej swobody wysławiania się po polsku". Nie tylko czytał literaturę niemiecką, lecz sam nawet pisywał wiersze w tym języku z okazji uroczystości rodzinnych. Posłuży się także językiem niemieckim pisząc po wielu latach w Mediolanie w 1802 historię swej rodziny, przeznaczoną dla swych dzieci. Dziwne to wywołuje wrażenie, gdy posługując się obcym językiem, nasz bohater narodowy wyraża swój fanatyczny wprost patriotyzm polski i język polski nazywa swą drogą mową ojczystą! Z klasyczną literaturą niemiecką nie rozstawał się nawet w okresie formowania Legionów we Włoszech. Jeszcze obecnie można oglądać w warszawskim Muzeum Wojska Polskiego egzemplarz wydanego w Lipsku dzieła F. Schillera: „Historia wojny trzydziestoletniej", z wgłębieniem po austriackiej kuli karabinowej. Tomik ten, noszony przez generała w górnej kieszeni munduru, uratował mu niechybnie życie w bitwie pod Novi.

Pozostałe w kraju siostry połączyły się z bratem dopiero po sześciu latach. Były to trudne dla naszego narodu lata chaosu wywołanego walkami wojsk rosyjskich z konfederatami barskimi. Oto, co na temat tych lat pisał Jan Henryk Dąbrowski w swej historii rodzinnej: „...Partia królewska i moskiewska starała się uczynić z tego wojnę religijną; podniecały dysydentów, luteran i kalwinów, aby większej wolności religijnej się domagali, katolików zaś, aby ich bardziej jeszcze ograniczali. Z tego wszczęła się niezgoda i nienawiść, a dysydentom nie pozostało nic, jak albo się poddać pod opiekę Rosji, albo wyjść z kraju. Krewni matki mojej, którzy wszyscy byli wyznania reformowanego, wyemigrowali do pruskiego Śląska, w okolice Raciborza...". W tym niespokojnym okresie babka naszego przyszłego bohatera narodowego, Ludwika Lettow, równocześnie jego matka chrzestna, ucieka do Krakowa wraz z dwiema pozostającymi pod jej opieką siostrami Jana Henryka. Mimo iż wszystkie były protestantkami, znalazły tam opiekę ze strony marszałka konfederacji krakowskiej, Czarnieckiego, żarliwego katolika, jak to podkreśla w swych pamiętnikach Dąbrowski.

Obie siostry odegrały ważną rolę w saskim okresie życia Jana Henryka. To one właśnie nie dozwoliły, aby życie ich brata potoczyło się zwykłą koleją, typową dla początkujących oficerów garnizonowych. Jak sam wyznaje, były dlań wzorem moralnego i czystego postępowania; szczególnie liczył się ze zdaniem młodszej z nich, Aleksandry, która potrafiła utrzymać w ryzach jego młodzieńczy temperament. Gdy w 1775 poślubiła ona porucznika Krzysztofa Barnera, Meklemburczyka i kolegę pułkowego jej brata, rodzina Dąbrowskich powiększyła się o szwagra wyznającego luteranizm. Wkrótce po śmierci Aleksandry, Barner poślubił jej starszą siostrę, Ludwikę. Jan Henryk pisze o swym szwagrze, iż był on ceniony zawsze przez wszystkich za swe nieskazitelne życie.

W 1779 umiera w Dreźnie Jan Michał, ojciec Jana Henryka. W związku z tym faktem czytamy w autobiografii charakterystyczną wypowiedź przyszłego generała: „Pozostałym po ojcu majątkiem podzieliliśmy się nie przyzywając ani sędziego lub adwokata, ani pośredników. Należy podkreślić, iż szwagier mój, Barner, był luteraninem, siostra moja kalwinką, ja katolikiem, a jednak podzieliliśmy się jak najzgodniej".

W 1740 roku Dąbrowski poślubia w Saksonii luterankę, Henrykę Rackel, 23-letnią córkę zamożnego pułkownika z terenów Dolnych Łużyc. Rok wcześniej jej siostra poślubiła w Polsce jednego z członków kalwińskiego rodu Grabowskich. W intercyzie przedślubnej Dąbrowscy ustalili, iż synowie zrodzeni z tego małżeństwa zostaną wychowani w wyznaniu ojca, tj. jako katolicy, córki zaś zostaną luterankami. Tak się też stało. Zmarły w 1827 syn Jana Henryka, noszący po swym dziadku imię Jan Michał, również generał Wojsk Polskich, pochowany został na cmentarzu św. Jana w Warszawie.

Wspomniane poprzednio silne związki z kulturą niemiecką, powstałe w okresie pobytu Jana Henryka w Saksonii, nie ułatwiły mu życia, gdy po długich naleganiach szeregu osób, m.in. marszałka Sejmu Czteroletniego, S. Małachowskiego, zdecyduje się w 1792 na zerwanie definitywne ze swą przybraną ojczyzną. Niejednokrotnie nieprzychylni mu paniczykowie, którym narzuci surowe karby wojskowej dyscypliny, będą go nazywali „obcym, niemieckim przybłędą". Do grona osób, z którymi zawrze w Warszawie bliższe węzły przyjaźni, należał duchowny warszawskiej parafii ewangelicko-augsburskiej, Karol Ludwik Hemmerich. Ks. Otto pisze o nim, iż po upadku Powstania Kościuszkowskiego, na wieść o formowaniu polskich jednostek wojskowych w odległych Włoszech przedrze się potajemnie przez liczne kordony i zaciągnie w służbę Legionów, gdzie odznaczył się męstwem.

Wreszcie może warto dodać, iż w przyszłości zamieszka i umrze w należącej do generała Dąbrowskiego Winnogórze, jego kuzyn wyznania kalwińskiego, Krystian Lettow, syn owego generała Henryka Lettowa, u którego wychowywały się w Warszawie przez pewien czas obie siostry Jana Henryka.

Tak wygląda prawda o wyznaniu i kontaktach z protestantami generała Jana Henryka Dąbrowskiego, o którym powie na emigracji Adam Mickiewicz:

„Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki — ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o ty nasz!..."

O BIBLII

Proroctwo Aggeusza

Odcinek 36

Warunki historyczne opisane w księdze Aggeusza różnią się całkowicie od sytuacji przedstawianej przez proroków Nahuma, Habakuka czy Sofoniasza. Najstarsi spośród dwunastu proroków (Amos, Ozeasz, Micheasz) zapowiadali zesłanie przez Boga kary na niewierny lud. Następni prorocy katastrofę, która dotknęła Izrael, opisywali jako wypełnienie kary Bożej. Natomiast za czasów Aggeusza, Zachariasza i Malachiasza sytuacja całkowicie się zmieniła. Naród izraelski po wielu latach niewoli babilońskiej otrzymał zezwolenie na powrót do Palestyny i Jerozolimy, dzięki łaskawości króla perskiego Cyrusa, następcy okrutnych Babilończyków. Nastąpiła epoka powrotu z wygnania (od 538 r.p.n. Chr.). Jednakże wygnańcy, gdy wrócili do ojczyzny, zastali w niej godną pożałowania sytuację: ruiny, głód i nienawiść ludności pozostałej w kraju, niechętnie patrzącej na powrót uwolnionych. Zrozumiałe jest, że w takich warunkach poddawali się zniechęceniu, bierności i egoizmowi.

Ten żałosny stan rzeczy trwał dopóty, dopóki słudzy Boży nie wstrząsnęli świadomością i sumieniem ludu, aby wyrwać go z odrętwienia. Uczynił to właśnie Aggeusz, prorok o nieznanym nam do dzisiaj życiorysie, którego słowa zachowały się jednak do naszych czasów, ujęte w formę dwóch krótkich rozdziałów tworzących osobną księgę. Jej skromna objętość wcale nie osłabia wymowy proroctwa, a jeśli nawet uważano kiedyś Aggeusza za zbyt realistycznego i pozbawionego szerszego lotu proroka, czyniono tak dlatego, że pomijano szczególne okoliczności, zwłaszcza warunki materialne, w jakich on i cały naród izraelski żył na tym etapie historycznym. Bóg nie zawsze w ten sam sposób przemawia do swego ludu: człowiek głoszący Słowo Boże może przekazywać słuchaczom najbardziej wzniosłe prawdy i słowa nadziei, ale także, w razie potrzeby, słowa najprostsze i przepojone głębokim realizmem, zdolne zmobilizować ludzi do wypalania cegieł i wznoszenia domów.

Każdy z wygnańców po powrocie do Jerozolimy zaczyna budować własny dom. Jednakże naród zapomina o odbudowie domu Bożego, świątyni w Jerozolimie. Można wyobrazić sobie ich rozumowanie: najpierw trzeba się jakoś urządzić, świątynia może poczekać; później będzie czas nad tym się zastanowić. Primum vivere. A czas mija! Po osiemnastu latach dom Boży ciągle jeszcze spoczywa w ruinach. Jest rok 520, epoka panowania króla Dariusza.

I oto rozlegają się ostre słowa Aggeusza: Spadają na was przykre doświadczenia, doznajecie ciągle upadków i zawodów. To

Bóg je na was zsyła, ponieważ sami zamieszkaliście w nowych, pięknych domostwach, a zapomnieliście o Jego domu. Obudźcie się, wznieście dom Boży, a powróci do was radość! Prorok stwierdza więc, że zaniedbanie odbudowy świątyni świadczy o życiu ludu bez Boga, o nieokazywaniu Mu szacunku i uchybianiu w oddawaniu Mu chwały. W tym zresztą przypadku dom, składający się z cegieł i drzewa, nie jest najważniejszą sprawą, chodzi o głębszy przejaw postawy Izraela. Gdy Bóg jest porzucony, a Jego dom w ruinach, lud poznaje wtedy, co to nieszczęście i wstyd.

Jakże niezmienna i aktualna pozostaje ta prawda w odniesieniu do Kościoła Chrystusowego i jego członków w warunkach, gdy oddawanie czci Bogu i nabożeństwo nie zajmują w ich myślach pierwszego miejsca. Niektóre nasze źle utrzymane, pokryte kurzem i zaniedbane świątynie też nasuwają pewne wnioski!

Apel proroka wstrząsnął narodem i jego przywódcami — Zorobabelem i Jozuem. Wkrótce przystąpiono do odbudowy świątyni, ukończonej w cztery lub pięć lat później, około roku 515 (por. Ezdr. 5:1—2 i 6:13). Czym była nowa świątynia w porównaniu z sanktuarium wzniesionym niegdyś przez Salomona i zniszczonym przez Babilończyków? Może niektórzy starcy wspominali jeszcze sławę, jaką cieszyła się pierwsza świątynia, i porównywali ją ze skromnością drugiej, odbudowanej na rozkaz Zorobabela i Jozuego. Czy należało jednak rozpaczać nad nieszczęściami i złem w tych czasach? (Ezdr. 3:10—13).

Oto prorok Aggeusz przepowiada sławę nowej świątyni, większą od tej, jaką cieszył się pierwszy dom Boży. Bóg jest wierny: nadejdzie chwila, w której Jego triumf zajaśnieje wobec wszystkich narodów, a wszelkie bogactwa do Niego będą należały. Po długich i ciężkich latach nędzy i cierpień zapanuje pokój, a lud pozna obiecane i zapowiedziane szczęście. Prorok wybiega poza rzeczywistość historyczną i zapowiada wydarzenia związane z końcem świata.

W formie pytania skierowanego do kapłanów Aggeusz wyjaśnia ludowi przyczynę jego godnej pożałowania sytuacji. Powiedzielibyśmy dzisiaj, że było nią „zarażenie". Święte przedmioty w zetknięciu z przedmiotami świeckimi nie przekazują im swego świętego charakteru. Ale przedmioty zbrukane (np. przez kontakt z trupem) plamią to wszystko, z czym się zetkną. Tak więc zbrukanie zaraźliwsze jest niż świętość. To zadziwiające stwierdzenie, głęboko prawdziwe w odniesieniu do wielu dziedzin życia, wyjaśnia niedolę ludu. Izrael zapomniał o odbudowaniu świątyni. To karygodne zaniedbanie jest jak brud rozprzestrzeniający się na całe życie ludu i powodujący jego niedolę. Różne braki, bieda, głód — są karą zesłaną przez Boga za splamienie się ludu. Teraz jednak Bóg mu będzie już błogosławił, gdyż plama zniknęła. Świątynia została odbudowana (w. 18—19).

Prorok przepowiada zagładę wszystkich królestw i wyniesienie Zorobabela, jako prawdziwego sługi Bożego, na władcę przyszłego królestwa. Ta mesjaniczna perspektywa związana została z postacią historyczną, aby podkreślić ciągłość historii ludu Bożego i realizację obietnic Pańskich od najdawniejszych czasów. Skromna pod względem objętości księga Aggeusza wnosi więc swój wkład w ustawicznie przez proroków biblijnych podkreślane oczekiwanie na króla, którego Bóg pośle pewnego dnia do swego ludu w czasach ostatecznych.

Księga Aggeusza jest przykładem księgi prorockiej Starego Testamentu, przedstawiającej określone i ograniczone w czasie (520 r.p.n.Chr.) okoliczności historyczne, a ponadto zawierającej wiecznie żywy przekaz skierowany do całego Kościoła. Cztery mowy proroka mogą stanowić przedmiot niezwykle bogatych studiów biblijnych na temat powstania Kościoła, jego słabości, chwały oraz związków zachodzących między życiem świata i Kościoła a nadzieją wszystkich wierzących.

Tłum. Ingeborga Niewieczerzał

Frank Michaeli: „39 livres en un seul".

POLEMIKI ● POLEMIKI ●

Zamieszczona w nr 10/77 „Jednoty" recenzja książki S. Dąbrowskiego „Ekumenizm znakiem czasu" oraz artykuł „Wolne Kościoły w Polsce", opublikowany w nr 1/78 — wywołały głosy polemiczne. Poniżej przytaczamy oba te głosy oraz odpowiedzi autorów wspomnianych publikacji: Karola Karskiego i ks. Mieczysława Kwietnia. A o tym, jak — naszym zdaniem — należy prowadzić polemiki, piszemy w rubryce „Co wy na to?"

Ani w Watykanie, ani w Genewie, ale w Chrystusie

Adwentystów nie raz już krytykowano. Jedni krytykowali, bo adwentyści bronili czystości prawdy Pisma świętego, inni z powodu ich proroczych interpretacji. Tym razem krytyka przyszła ze strony ekumenisty. Ostro zaatakował Karol Karski w „Jednocie" 10/77, obiektem gwałtownego ataku stała się książka Stanisława Dąbrowskiego „Ekumenizm znakiem czasu" (wydana przez nasze Wydawnictwo w ub. roku). Ktoś mógłby już teraz powiedzieć, że adwentyści mają jeszcze jedną obsesję — nie lubią, jak ich ktoś atakuje. Jeszcze jedną, bo o pierwszą obsesję pomówił autora książki red. Karski, stwierdziwszy: „czytając wywody prez. S. Dąbrowskiego nie sposób się oprzeć wrażeniu, że jego stosunek do Kościoła rzymskokatolickiego ma charakter obsesji".

Jest przykro red. Karskiemu, że adwentyści nie włączają się do ruchu ekumenicznego pod egidą Polskiej Rady Ekumenicznej (w Polsce) i Światowej Rady Kościołów (w ogóle), ale chyba i dlatego, że zupełnie otwarcie stwierdzają, dlaczego należeć nie mogą. No cóż, po pierwsze nie tylko oni nie należą (inni też nie należą, łącznie z KRK, który przecież też nie jest członkiem ŚRK), a po drugie, chyba wolno wyrażać swoje powody odmowy przynależności ekumenicznej. Ale nie chodzi tu tylko o to, by bronić zasad S. Dąbrowskiego, bo ktoś się z nimi nie zgadza.*

Zdziwiły mnie nie tyle pomówienia red. Karskiego, że S. Dąbrowski „czerpie" swoje argumenty „z powietrza", ile konkluzje — a zarazem celowość zanalizowania właśnie w taki sposób książki. Komu to wszystko ma służyć? A zresztą recencja,

---

* Kościół katolicki — red. „J".

moim zdaniem, nie świadczy — ani jej argumenty, ani styl, że red. Karski obiektywnie, a choćby tylko kulturalnie potraktował poglądy autora książki, na które sam, to prawda, przystać nie może. Zresztą Autor recenzji jeszcze bardziej przekonał adwentystów o słuszności ich stanowiska wobec ekumenizmu takiego, jaki On sam reprezentuje. Może jest mi też trochę przykro, że dotąd obiektywna „ekumenicznie" i uczciwa „Jednota" pozwoliła na zamieszczenie na swych stronach ataku na Kościół, który jakkolwiek nie należy do PRE, bo inaczej rozumie istotę tej organizacji, to jednak nie przestaje być życzliwy wobec wszystkich ludzi dobrej woli, a tych w tej organizacji jest niekłamanie wielu.

Z recenzji wyłaniają się najwyraźniej dwie sprawy, ale nie z dziedziny polemiki, bowiem red. Karski sam polemikę wyeliminował, a o dialog Mu też chyba nie chodzi. Przede wszystkim wydaje mi się, że mówiąc o autorze książki, iż „jego stosunek do Kościoła rzymskokatolickiego ma charakter obsesji", sam nie mniej „obsesyjnie" bierze rzymskokatolików w obronę. Jeśli już rzecz obsesją nazwana została, to ja jestem przekonany, że autor Dąbrowski jako adwentysta z tej obsesji wytłumaczyć się potrafi, trzymając otwartą Biblię w ręku. Może to trochę nie fair z mojej strony, ale odniosłem wrażenie, iż red. Karski jednoznacznie w swej recenzji zapomina o przeszłości własnego Kościoła, kierując swe sympatie w kierunku systemu, z którego wielki Reformator Marcin Luter w sposób radykalny i uzasadniony wystąpił. Kościół rzymskokatolicki, może dokładniej — system papieski, z pewnością cieszy się z takich pomocników. Wiadomo, że wśród współczesnych adherentów ekumenizmu są i tacy, którzy myślą o zjednoczeniu chrześcijan bez względu na to, czy głową „jednego" Kościoła będzie papież, czy kto inny, jednocześnie niechętnie patrząc na wszelkie kwestionowanie tego rodzaju idei zjednoczenia. Red. Karski właśnie nie uwzględnił choćby swoistości mniejszości religijnych w Polsce.

Z recenzji można wnioskować, że jej Autor wyraża nie tylko swoje poglądy, ale także swoich pracodawców, skoro pisze: „Jesteśmy przekonani, że również Kościół adwentystów w bliższej lub dalszej przyszłości zrewiduje swe poglądy i włączy się twórczo w nurt ruchu ekumenicznego". Szkoda, że nie doczytałem się, na czym oparł swoje przekonanie — bo na książce S. Dąbrowskiego na pewno nie. I muszę zmartwić red. Karskiego, choć nie sądzę, że bardzo Mu na tym zależy: nie zamierzamy urzeczywistnić tego przekonania. Adwentyści ani nie mają zamiaru, ani nie widzą możliwości „zjednoczenia" pod struktury, które red. Karski reprezentuje, czy pod te, których broni.

Po drugie, zdziwiła mnie, adwentystę, rada red. Karskiego, abyśmy byli „obojętni" na to, „kto z kim i na jakich zasadach współpracuje". Redaktorze, obojętni być nie możemy. „Dialog" protestantów i ich „współpraca" z KRK jest dla nas bardzo wyraźnym znakiem czasu. Zresztą na temat „spełnionych nadziei" pozytywnie postępującego dialogu i współpracy ŚRK z KRK wszędzie głośno i nietrudno przeoczyć tegoż implikacje, a dla kogoś, kto uważnie czyta Pismo święte, owa „spełniona nadzieja" znaczy nie tyle „wyjście z Babilonu", co raczej „powrót" do niego. Uważamy za swój moralny i chrześcijański obowiązek ostrzec przed tym głośno.

Ostrzegać będziemy — jednym ku zbawieniu, innym na świadectwo. Chyba takie jest posłannictwo biblijne. Zresztą Kościół adwentystów zawsze będzie utrzymywał, że ekumenizm ma rację bytu jedynie w Chrystusie, tzn. tylko ekumenizm skrypturystyczny i chrystocentryczny, w oparciu o pełną Ewangelię, a nie w oparciu o jej interpretację albo wyrywkowość. I dzięki „wypławieniu go" w ogniu proroczej wizji dziejów świata. Istotnie, odmienne to spojrzenie niż Rzymu czy Genewy (nie dziwi przeto, że autor „Ekumenizmu znakiem czasu" pomówiony został przez red. Karskiego o nieznajomość dziejów ruchu ekumenicznego). Tymczasem jak długo ruchem ekumenicznym będą kierowali tylko ludzie, inspirowani swoimi lub Kościołów prywatnymi interesami, mający zresztą na swoim sztandarze naprawdę wzruszające słowa („...aby wszyscy byli jedno"), szkoda tylko że nie dopowiadające ważnych prawd — ekumenizm będzie niczym innym, jak wypełnieniem się proroctw Apokalipsy. I choć, pewien jestem, red. Karski zna je dobrze, „w żaden sposób nie trafiają Mu do przekonania". Ale tak już jest, że ostrzeżenie przed grzechem czasem się traktuje błaho, ukazanie zaś grzechu — raz pokutnie, raz butnie, a najczęściej uzasadniając, że tłumaczenie nie trafia „do przekonania". Trochę więc szkoda, że pryncypia Ewangelii nie są red. Karskiemu ani dostatecznie znane, ani wystarczająco alarmujące, iż wielkim grzechem jest grzech z premedytacją. No cóż, sumienie nieraz zawodzi.

„Dziwna książka o ekumenii" odebrała swą dziwną recenzję. Zmartwiło mnie, a jednocześnie „udziwniło" recenzję w moim odczuciu autentycznie „sekciarskie" potraktowanie przez red. Karskiego naszego Kościoła (patrz wypowiedź abpa Söderbloma). Czyżby Autor recenzji nie znał oceny zaledwie sprzed paru lat bpa Miziołka, który nazwał Kościoły mniejszościowe „sekciarskimi"? Posługując się tą samą terminologią red. Karski dał do zrozumienia, iż jeszcze nie tak dawno był „sekciarzem", a w pewnych kołach rzymskokatolickich dalej nim jest. Ja natomiast może nie tyle znalazłem gratkę, co rzeczywiście się ucieszyłem, odczytawszy jedno proroctwo Słowa Bożego (to S. Dąbrowski wielokrotnie podkreślił w swojej książce). Oto w tej samej „Jednocie", w rubryce „Co wy na to?" czytamy wypowiedź Kardynała Garrone: „Chodzi o sprowadzenie tych ludzi na łono Kościoła przy pomocy dialogu". Oczywiście mowa o rzymskokatolikach i o ekumenicznych „braciach odłączonych". Zacytuję komentarz redaktorów „Jednoty", a może pióra także red. Karskiego (?): „W świetle tej wypowiedzi kard. Garonne'a mogłoby się zdawać, że rację mają ci wszyscy, którzy z głęboką nieufnością odnoszą się do rzymskokatolickiego ekumenizmu, traktując go jako zasłonę dymną, i twierdzą, że właściwie nic się w Kościele rzymskim nie zmieniło, a ruch ekumeniczny jest tylko budowaniem pomostu dla sprowadzenia protestantów »na łono Kościoła«. Można sobie wyobrazić, jaką gratkę znajdą w tym cytacie i jak zacierają ręce — a nie mówiliśmy?" Oczywiście przeczytałem także komentarz zamieszczony poniżej! A nie mówiliśmy?

RAJMUND ŁADYSŁAW DĄBROWSKI

Przedruk ze „Znaków Czasu", wydawnictwa Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, Warszawa 1978, nr 2 (302).

Redaktorowi Rajmundowi Dąbrowskiemu w odpowiedzi

Czytelnik, który nie czytał w „Jednocie" (nr 10/1977) mojej recenzji książki Stanisława Dąbrowskiego, zatytułowanej: „Ekumenizm znakiem czasu", a zna ją jedynie z tendencyjnego omówienia Rajmunda Ładysława Dąbrowskiego w „Znakach Czasu", może dojść rzeczywiście do przekonania, że jestem zdeklarowanym „wrogiem" adwentystów, „atakuję" ich Kościół i uważam go za „sektę". Są to zarzuty bardzo poważne, jednak nie znajdujące potwierdzenia w faktach. R. Ł. Dąbrowski, który mi je postawił, wykazał brak odpowiedzialności jako redaktor i publicysta.

Ks. Stanisław Dąbrowski nie oszczędził w swej książce Kościołów ewangelickich i prawosławnych, różnych organizacji ekumenicznych, a także wybitnych teologów i działaczy chrześcijańskich podejmujących współpracę z Kościołem katolickim. Trudno byłoby coś mieć przeciw tej krytyce, gdyby nie to, że opierała się ona na fałszywych faktach lub błędnej ich interpretacji. Moja recenzja była wyłącznie polemiką z poglądami S. Dąbrowskiego. Wychodziłem bowiem z założenia ,i nadal z niego wychodzę, że w Kościele adwentystów istnieją zróżnicowane poglądy na ruch ekumeniczny i współpracę protestantów i prawosławnych z Kościołem katolickim. Jeśli więc R. Ł. Dąbrowski sugeruje, że krytykując książkę ks. Dąbrowskiego „zaatakowałem" Kościół, wówczas muszę wyciągnąć z tego logiczny wniosek, że ks. S. Dąbrowski ogłasza wiernym ex cathedra prawdy obowiązujące do wierzenia.

Ponieważ ks. S. Dąbrowski ma za złe protestantom i prawosławnym, że współpracują z Kościołem katolickim, przeto starałem się wyjaśnić motywy, jakimi się oni kierują, podejmując tę współpracę. Powołałem się tutaj na wybitnego pioniera ekumenizmu, abp. Nathana Söderbloma, który podczas pewnej konferencji w 1920 oświadczył, „że wykluczenie z góry jakiejś wspólnoty religijnej z udziału w ruchu ekumenicznym byłoby dowodem sekciarskiej postawy tych, którzy za tę decyzję ponoszą odpowiedzialność". Wyjaśniająco dodam, że Söderblom złożył tę wypowiedź podczas polemiki ze szwajcarskimi reformowanymi, którzy — rozżaleni negatywną postawą Watykanu wobec dążeń ekumenicznych — chcieli doprowadzić do podjęcia uchwały o niewysyłaniu więcej zaproszeń do przedstawicieli Kościoła katolickiego na organizowane konferencje ekumeniczne. R. Ł. Dąbrowski twierdząc, że z przytoczonego fragmentu mojej recenzji wynika „autentycznie sekciarskie potraktowanie przez red. Karskiego naszego Kościoła", wykazał dużo złej woli i nieuczciwości dziennikarskiej.

Wypowiedź ks. bp. Władysława Miziołka, na którą powołuje się R. Ł. Dąbrowski, jest mi znana. Określenia „sekta" użył on wówczas jedynie w odniesieniu do Kościoła adwentystów, a nie do wszystkich Kościołów mniejszościowych w Polsce, jak sugeruje R. Ł. Dąbrowski. Tak czy inaczej, była to wypowiedź godna ubolewania, jednakże gwoli prawdy należało jeszcze dodać, że bp Miziołek — wiem to od kompetentnych przedstawicieli Kościoła adwentystów — przeprosił ich za użyte sformułowanie.

W powyższym kontekście chciałbym jednak zapytać, czy panowie Dąbrowscy — Stanisław i Rajmund Ładysław — czują się naprawdę w porządku i w zgodzie z własnym sumieniem, gdy kierują obraźliwe epitety („Babilon" itp.) pod adresem Kościoła rzymskokatolickiego? W każdym razie dla mnie — i nie tylko dla mnie — jest to pogwałcenie zasady tolerancji religijnej.

R. Ł. Dąbrowski w ferworze polemicznym zarzucił mi, że nieobiektywnie i niekulturalnie potraktowałem poglądy ks. S. Dąbrowskiego, że „obsesyjnie" biorę rzymskokatolików w obronę, że zapomniałem o przeszłości własnego Kościoła, że jestem „pomocnikiem systemu papieskiego" i że nie są mi dostatecznie znane pryncypia Ewangelii. Nad wszystkimi tymi zarzutami przechodzę do porządku, pozostawiając je obiektywnej ocenie Czytelników moich publikacji. Uważam jednak, że R. Ł. Dąbrowski przekroczył pewne powszechnie obowiązujące w dziennikarstwie zasady, próbując uwikłać w całą kontrowersję „Jednotę" („...dotąd obiektywna »ekumenicznie« i uczciwa »Jednota« pozwoliła na zamieszczenie na swych stronach ataku na Kościół") i Polską Radę Ekumeniczną („Z recenzji można wnioskować, że jej Autor wyraża nie tylko swoje poglądy, ale także swoich pracodawców"). To nie jest fair, redaktorze Rajmundzie Ładysławie Dąbrowski! Jako osoba parająca się piórem, powinien Pan wiedzieć, że podpisując się pełnym imieniem i nazwiskiem, wziąłem całkowitą i wyłączną odpowiedzialność za to, co napisałem.

KAROL KARSKI

W sprawie artykułu „Wolne Kościoły w Polsce"

W nr. 1/78 „Jednoty" ukazał się artykuł Mieczysława Kwietnia pt. „Wolne Kościoły w Polsce". Punktem wyjścia jest zdanie prof. Oskara Bartla: „Historia Kościoła chrześcijańskiego to nie tylko historia ortodoksji kościelnej, ale także opozycji". Korzystając z tej definicji autor artykułu wywodzi, iż wolne Kościoły powstały w „oderwaniu od protestantyzmu", co historycznie nie budzi wątpliwości.

Następnie jednak M. Kwiecień stwierdza, iż „wolny Kościół" to „nowa wspólnota chrześcijańska, która niezależnie od formalno-prawnego oceniania jej przez opinię publiczną kraju (...) powstała z autentycznego pragnienia wykonywania woli Bożej i trwania w posłuszeństwie i wierności wobec jedynego Pana, Jezusa Chrystusa, i Jego uniwersalnego Królestwa". Zdanie to sugeruje, jakoby tylko „wolne Kościoły" stwarzały taką możliwość, a Kościoły historyczne tę postawę ignorowały czy też były jej zaprzeczeniem.

Nawiązując do punktu wyjścia, autor twierdzi, iż „wolne Kościoły są więc swoistą opozycją wobec zinstytucjonalizowanej struktury starego Kościoła i czują się w obowiązku wobec Pana Kościoła, by przypominać sobie i wszystkim ludziom, że podstawowe prawdy Ewangelii obowiązują i dzisiaj, i na wieki". Wynikałoby z tego, iż „stare Kościoły" mogłyby zapomnieć o tym podstawowym obowiązku, gdyby wolne Kościoły im tego nie przypominały.

M. Kwiecień stwierdza, iż istnieją wolne Kościoły, których członkostwo „nabywa się przez urodzenie". Mamy wrażenie, że tak dzieje się z reguły w kolejnych pokoleniach członków Kościołów wolnych.

Wreszcie, przechodząc do konkretów, autor stwierdza, iż „przykładem takiego wolnego Kościoła na terenie Polski jest społeczność działająca w łonie Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego na Śląsku Cieszyńskim. Jej duchowość jest ewangeliczna, a jej symbolika, zwłaszcza w odniesieniu do chrztu — konfesyjna". W związku z tym zdaniem stwierdzamy, że kwalifikowanie ruchu prowadzonego przez Komisję Ewangelizacyjno-Misyjną naszego Kościoła jako „wolnego Kościoła", będącego „opozycją", pielęgnującego „pobożność czy duchowość" rzekomo odchylającą się od pobożności ewangelickiej, jest co najmniej niefortunne. Budzi bowiem pytanie ,czy konkretny ruch ewangelizacyjno-misyjny, działający pod auspicjami naszego Kościoła, należy traktować jako „autonomiczny nurt" działający — jak mówi autor — „w oderwaniu" od naszego Kościoła? Sugeruje to również przytoczona w artykule analogia przedstawiająca Kościół Mariawitów jako „wolny Kościół" typu katolickiego.

Takie postawienie sprawy nie przynosi pożytku ani naszemu Kościołowi, ani ruchowi ewangelizacyjno-misyjnemu, którego działalność jest częścią składową naszego Kościoła i którego przedstawiciele są członkami Synodu, Konsystorza, rad diecezjalnych i parafialnych.

Wyrażamy przeto ubolewanie z powodu niefortunnego postawienia sprawy we wspomnianym artykule.

(Artykuł opublikowany w „Zwiastunie" 1978, nr 8, jako odpowiedź na artykuł ks. Mieczysława Kwietnia — „Wolne Kościoły w Polsce" — zamieszczony w „Jednocie" 1978, nr 1)

„Zwiastunowi" w odpowiedzi

Po zapoznaniu się z krytycznymi uwagami „Zwiastuna" — udostępnionymi mi przez Redakcję „Jednoty" — na temat mojego artykułu wydrukowanego przez to rzeczywiście ogólnochrześcijańskie czasopismo, stwierdzam, że z uwagami tymi zgodzić się nie mogę.

Byłem i jestem daleki od zajmowania się sprawami „ruchu prowadzonego przez Komisję Ewangelizacyjno-Misyjną" Kościoła luterańskiego. O Komisji tej nie napisałem ani słowa, nie pamiętałem nawet — w czasie pisania — że ona istnieje. Zatem to, co autor krytycznych wypowiedzi mi zarzuca — nie występuje w moim tekście.

Nie zajmowałem się także gloryfikowaniem „wolnych Kościołów", lecz starałem się wyjaśnić, na czym polega fenomen wolnokościelności. Nie uważam również, by tylko „wolne Kościoły" dążyły do całkowitego wykonywania woli Bożej, a inne, np. tzw. Kościoły historyczne, sprawę tę ignorowały lub były jej zaprzeczeniem, jak sugeruje mi się w kolejnym zarzucie. Uważam, że taka czy inna nazwa jakiegoś Kościoła lub określenie stanu jego „kościelności" — o niczym istotnym jeszcze z góry nie świadczy. Nie pisałem również, że „wolne Kościoły" są lepsze od innych, lecz wyjaśniałem, skąd się one wzięły i jakie są ich „cechy genetyczne". „Wolne Kościoły" mają, rzecz jasna, do wypełnienia pewną funkcję; gdyby tak nie było, po prostu by nie istniały. Jedną z nich jest przypominanie, że podstawowe prawdy Ewangelii obowiązują i dzisiaj, i na wieki. W wielu więc praktycznych przypadkach „wolne Kościoły", chcąc nie chcąc, znajdują się w opozycji wobec zinstytucjonalizowanej struktury „starego" Kościoła. Tak nie musi być w każdym przypadku, lecz tak jest z reguły — zwłaszcza na początku zachodzącego procesu. Wtedy też świadectwo jakiegoś „wolnego Kościoła" może być drażniące. Z reguły jednak czas działa lecząco; następuje przyjęcie (lub nie) świadectwa przez „stary Kościół" i większe lub mniejsze zinstytucjonalizowanie się „wolnego Kościoła" (lub nie); albo też jeszcze inaczej się dzieje, ku mniejszemu lub większemu zadowoleniu różnych grup uczestniczących w tym procesie.

Dalej autor krytyki pisze, że w „kolejnych pokoleniach członków Kościołów wolnych członkostwo nabywa się przez urodzenie". Tak dzieje się tylko w tych społecznościach wolnokościelnych, które działają raczej w ramach swoich macierzystych konfesji; w tych natomiast, które reprezentują poglądy ewangeliczno-baptystyczne na pierwszym miejscu stawiana jest sprawa osobistej wiary i dojrzałości chrześcijanina, który przez wiarę stał się człowiekiem odrodzonym, a sprawa chrztu stawiana jest dopiero za nimi.

Sprawa wolnokościelności jest o wiele bardziej złożona, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Jej skala rozciąga się na rozległym obszarze pomiędzy 1) bardzo zróżnicowanymi formami sekciarstwa i 2) nie mniej rozbudowanymi formami kościelności. Więcej,

wolnokościelność — w ramach siebie samej — może wykazywać różnorodne tendencje i oscylować raz w stronę jednego, kiedy indziej zaś — drugiego bieguna, zanim wreszcie ustali się w jakimś kształcie. Z tego m.in. powodu mamy do czynienia z a) „wolnymi Kościołami" działającymi w ramach macierzystej konfesji, b) oddzielonymi od niej, ale utrzymującymi z nią bliskie lub przyjazne stosunki, c) oddzielonymi od macierzystej konfesji i pozostającymi wobec niej w stanie wrogości, d) społecznościami działającymi w ramach macierzystej konfesji, pozbawionymi wrogości, ale posiadającymi tak daleko posunięte uprawnienia, że można mówić o ich autonomiczności; tak jest w przypadku kierunku ewangelicznego (Low Church) w obrębie Kościoła anglikańskiego. Jak choćby z powyższego widać, skala możliwości jest dosyć rozległa.

Kończąc swą odpowiedź, pragnę zacytować dwie — z pozoru sprzeczne — wypowiedzi Pana Jezusa: „Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie, a kto nie zbiera ze mną, ten rozprasza" (Mat. 12:30) i „kto nie jest przeciwko nam, ten jest za nami" (Mk 9:40). W pierwszym przypadku Jezus myśli wyłącznie o sobie; w drugim — o sobie i uczniach. W tym sensie nie jestem przeciwko innym chrześcijanom, chociaż należę do określonego „wolnego Kościoła". Dążę bowiem do tego, by zawsze na pierwszym miejscu stawiać Jezusa Chrystusa, nie zaś jakikolwiek Kościół. Dlatego, że On i Jego Królestwo są najważniejsze.

Na bieg interpretacji mojego artykułu jak i na rozpowszechniane opinie nie mam, rzecz jasna, wpływu. Jednakże każdy nieuprzedzony Czytelnik może sobie wyrobić własny sąd — na podstawie lektury.

MIECZYSŁAW KWIECIEŃ

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

Z ZAGRANICY

● Komitet Wykonawczy ŚRK na ostatnim spotkaniu w Boldern k. Zurychu debatował nad alarmującą sytuacją finansową Rady. Dramatyczny spadek dolara amerykańskiego i marki zachodnioniemieckiej w stosunku do franka szwajcarskiego zmusił Radę do obcięcia tegorocznego budżetu o 11,8%. Zadecydowano o zredukowaniu wydatków na konferencje i inne spotkania oraz o nieobsadzaniu wielu wakujących stanowisk w sztabie. Dyskutowano również nad ewentualnym przeniesieniem siedziby ŚRK do tańszego niż Szwajcaria kraju. Chwilowo odstąpiono od planów rozbudowy Centrum Ekumenicznego. Sekretarza generalnego dr. Filipa Pottera upoważniono do rozmów z rządem szwajcarskim w kwestii wprowadzenia pewnych ulg dla ŚRK, co pozwoliłoby jej uporać się z problemem wymiany walut, wysokimi kosztami utrzymania oraz uzyskiwaniem zezwoleń na pracę dla cudzoziemców. Pomimo tych wszystkich trudności, nie odwołano posiedzenia Komitetu Naczelnego w styczniu 1979 na Jamajce.

Na tym samym zebraniu Komitet Wykonawczy wyraził głęboką troskę i zaniepokojenie rozwojem wydarzeń w Afryce południowej. Do Kościołów członkowskich zaapelował o „rozszerzenie wszelkich dostępnych im form pomocy dla wysiłków podejmowanych przez Kościoły w Afryce południowej na rzecz ludzi poddawanych coraz straszniejszemu uciskowi". W innej rezolucji Komitet zażądał przyznania Namibii pełnej niezależności.

Ponadto:

— dokonano przeglądu współpracy ŚRK ze światowymi związkami wyznaniowymi i Kościołem Rzymskokatolickim,

— odnowiono na dalsze trzy lata mandat Wspólnego Komitetu do spraw Społeczeństwa, Rozwoju i Pokoju (SODEPAX),

— podjęto szereg decyzji w sprawie Międzynarodowego Roku Dziecka (1979),

— zatwierdzono nominacje kilku nowych członków sztabu oraz dyrektora Instytutu Ekumenicznego w Bossey k. Genewy, prof. Karla Hertza z USA.

● Komisja do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji ŚRK w Porto Rico ustaliła, że głównym tematem Światowej Konferencji Misyjnej (maj 1980, Melbourne) będzie prośba Modlitwy Pańskiej: „Przyjdź Królestwo Twoje".

● Komisja Kościołów do Spraw Międzynarodowych przy ŚRK wysłała do Kościołów członkowskich list, w którym wzywa je do specjalnych modlitw w dniu 21 maja, w intencji pokoju i rozbrojenia. Niedziela modlitw poprzedzi nadzwyczajne posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego ONZ, które obradować będzie od 23 maja do 28 czerwca br. w Nowym Jorku na temat rozbrojenia.

● Dr Lukas Vischer, dyrektor Sekretariatu do Spraw Wiary i Ustroju ŚRK, przemawiając do pracowników ewangelickiego i katolickiego wydziału teologicznego Uniwersytetu w Monastyrze stwierdził, że w dzisiejszych czasach nauka głoszona przez Kościoły utrzyma moc obowiązującą jedynie wówczas, gdy formułowana będzie w ekumenicznym wymiarze. Dialog ekumeniczny nie może być celem samym w sobie. Jedność jest czymś więcej niż tylko pokojową współegzystencją lub pojednaną różnorodnością. Musi dojść do zbliżenia nie tylko w zakresie treści tego, czego się naucza, ale także do zbliżenia między tymi, którzy są powołani do nauczania. Ostatecznym celem winno być wspólne obchodzenie Eucharystii przez ludzi, którzy mają wspólną świadomość religijną.

● Metropolita Meliton, przebywający z wizytą w Atenach, zaprzeczył pogłoskom, jakoby Turcja zamierzała zamknąć Konstantynopolitański Patriarchat Ekumeniczny w Stambule. Taki krok miałby — jego zdaniem — fatalne następstwa dla Turcji. Tym niemniej — powiedział — między rządem tureckim a Patriarchatem i mniejszością grecką w Turcji istnieją niełatwe problemy. „Pragniemy je usunąć na drodze dialogu, bowiem jest życzeniem Patriarchatu, aby rozmowy grecko-tureckie zakończyły się powodzeniem".

● Biblię lub jej fragmenty przełożono dotychczas na 1631 spośród ok.

3000 języków świata. Pełny przekład istnieje tylko w 266 językach. W ubiegłym roku dokonano kilku nowych przekładów na języki liczniejszych grup narodowościowych w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Druk Biblii w języku isoko został opóźniony wskutek tego, że znaczną część przełożonych tekstów zjadły termity.

● Prezydent Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych w latach 1964—1970, dr Wilhelm Niesel, ukończył niedawno 75 lat. Był profesorem teologii systematycznej najpierw w Berlinie, potem w Wuppertalu. Przez 27 lat sprawował funkcję moderatora Związku Reformowanego w RFN. Długie lata był także członkiem Komisji Wiara i Ustrój ŚRK.

● 17 lutego br. minęło 130 lat od chwili, gdy król Piemontu i Sardynii po raz pierwszy przyznał waldensom prawa obywatelskie. Z tej okazji Ewangelicki Kościół Waldensów we Włoszech zorganizował uroczystości. Wszystkie zbory modliły się w intencji Ewangelickiego Kościoła Waldensów w Rio de la Plata (Argentyna i Urugwaj) i zebrały na jego potrzeby specjalne kolekty. Waldensi włoscy chcą pomóc waldensom południowoamerykańskim w dziedzinie kształcenia teologów.

● Luterański Kościół w Szwecji przed blisko 20 laty wprowadził równouprawnienie kobiet w staraniach o dopuszczenie do urzędu duchownego. Ostatnio jednak rozgorzał ostry spór. Wielu duchownych (mężczyzn) i świeckich domaga się zrezygnowania z tej praktyki w Kościele. Pewna liczba pastorów, przeciwników ordynacji kobiet, wystąpiła nawet z Kościoła. W dwóch spośród trzynastu diecezji jeszcze żadna kobieta nie została ordynowana. Ale w całym Kościele, wśród 3200 czynnych duchownych — 253 to kobiety.

● Synod Generalny Kościoła Anglikańskiego Anglii ma podjąć jesienią br. uchwałę o dopuszczeniu kobiet do urzędu duchownego. W związku z tym grupa teologów anglikańskich domaga się podjęcia takich kroków, które zapobiegłyby rozłamowi. Kontrowersje między zwolennikami i przeciwnikami ordynacji kobiet w Anglii są jeszcze większe niż w USA, gdzie — jak już informowaliśmy — przeciwnicy dopuszczenia kobiet do urzędu duchownego utworzyli nowy Kościół.

● Rząd Argentyny, uznawszy niedawno katolicyzm za oficjalną religię państwową, wydał jednocześnie zarządzenie zobowiązujące pozostałe wyznania do rejestrowania się w ministerstwie spraw publicznych w ciągu trzech miesięcy. Jeśli warunku tego nie spełnią, zostaną potraktowane jak wspólnoty nielegalne i nie będą mogły prowadzić działalności publicznej. Zarządzenie wywołało zaniepokojenie i protesty Kościołów ewangelickich, na co państwo odpowiedziało, że rejestracja wymagana jest do celów statystycznych i administracyjnych i nie ma nic wspólnego z ograniczaniem wolności religijnej.

● Reformowany Kościół na Węgrzech wydał w minionym roku Biblię w 20 tys. egzemplarzy, a Nowy Testament w 10 tys. egzemplarzy. W Węgierskiej Radzie Biblijnej pracuje stale komisja złożona z pisarzy, poetów i językoznawców, której celem jest stałe udoskonalanie przekładów biblijnych. W tym roku przewidziano kolportaż dalszych 23 tys. egzemplarzy Nowego Testamentu.

● 86% członków Zjednoczonego Kościoła Kanady (ok. 3 mln. wiernych) wierzy w moc modlitwy i jest przekonana, że Bóg wysłuchuje modlitw i daje na nie odpowiedź. Jednakże tylko 53% modli się regularnie.

Z PRASY

Sprawy małżeństwa i rozwodu należą do trudnych problemów moralnych współczesnego społeczeństwa. Ludzie odpowiedzialni zastanawiają się nad przyczynami kryzysu w tej dziedzinie i szukają sposobów na ich uzdrowienie. Interesujące uwagi na ten temat znajdujemy w tygodniku „Polityka" (Nr 7 z 18 lutego 1978, s. 13), który omawia artykuł pod tytułem „Od miłości do rozwodu" z tegorocznego miesięcznika Związku Pisarzy ZSRR „Żurnalist", napisany przez kandydata nauk pedagogicznych Aleksandra Mieliksetiana. Ze względu na interesujące uwagi na temat małżeństwa i rozwodu warto zapoznać się z głównymi myślami tego artykułu.

Autor omawia sytuację małżeńską w Związku Radzieckim, gdzie „...odbywa się codziennie 6,5 tys. ślubów, a rocznie — 2,4 mln. W ciągu roku rejestruje się około 800 tys. rozwodów, czyli że rozpada się co trzecie małżeństwo; nie wiadomo też jeszcze, czy we wszystkich rodzinach, które przetrwały, mikroklimat jest sprzyjający.

A oto kilka dalszych danych statystycznych. Jak stwierdza socjolog J. Riurikow, co roku w ZSRR pojawia się ponad 400 tys. rodzin, w których dzieci żyją bez ojca. Takich rodzin, w których pozostała tylko sama matka, jest 9 mln., czyli szósta część ogółu małżeństw. I wreszcie, 20 mln. osób w wieku od 20 do 40 lat i kilkadziesiąt milionów powyżej 40 roku życia stanowią kawalerowie, rozwodnicy i rozwódki oraz samotne matki. Czy aby nie za dużo tych osobistych tragedii?"

Następnie Meliksetian zastanawia się, „czym jest rozwód. Chorobą cywilizacji? Czy może wyleczeniem się ze starej choroby skostnienia rodziny i nierozerwalnego charakteru małżeństwa? Najprawdopodobniej rozwód jest i jednym, i drugim. Rozwód jest jak starożytny bóg Janus o dwóch obliczach, z których każde zwrócone było w przeciwną stronę, symbolizując jednocześnie i dobro i zło. Ta sprzeczność współczesnej epoki jest ceną, jaką ludzkość płaci za swoje posuwanie się naprzód na drodze postępu, ceną jaką płaci człowiek za prawo do układania sobie życia osobistego i rodzinnego według własnego wyboru. Najczęściej jednak rozwód jest złem, gdyż jest to z reguły mikrospołeczna katastrofa jednostki. Przeżywając tę katastrofę człowiek poznaje gorycz samotności, zranionego prestiżu, krzywdzącej famy itd. A poza tym następstwa rozwodów nie dotyczą wyłącznie współmałżonków: cierpią na tym również dzieci — rozwód siłą rzeczy musi odbić się na ich wychowaniu. Notabene, rozwód nie jest jeszcze bynajmniej zwiastunem powstania nowej rodziny. Gdzie mamy gwarancję, że nowa rodzina okaże się lepsza od starej i że człowiek nie

zagubi się ostatecznie w labiryncie swego życia osobistego?"

Do rozbicia małżeństwa dochodzi coraz częściej i w tym zjawisku widzi się jeden z przejawów kryzysu rodziny, wywołanego zmianami, jakie zachodzą w społeczeństwie, i dotyczy to całego świata.

„...Według opinii wielu uczonych, na całym świecie rodzina przeżywa obecnie kryzys. Dlaczego problem utrzymania rodziny nie był tak ostry, powiedzmy, przed 100 lub 70 laty? Czy stary model rodziny różni się zasadniczo od nowego? Stara rodzina — jak wyraził się obrazowo radziecki uczony A. Charczew — przypominała »beczkę z wieloma obręczami«: normami prawnymi, moralnymi, religijnymi, z zależnością ekonomiczną itp. Ustrój socjalistyczny odrzucił jedną po drugiej wszystkie obręcze (oprócz szeregu norm prawnych i moralnych). Tak np. współczesne małżeństwo stało się mniej trwałe m.in. wskutek emancypacji kobiet. Nieprzypadkowo wiele małżeństw (od 2/3 do 3/4 ogólnej ich liczby) rozpada się z inicjatywy kobiet. Kobiety są obecnie niezależne ekonomicznie: odeszła w przeszłość rodzina, w której głównym żywicielem był mąż."

„...Miejsce rodziny, zdominowanej przez mężczyznę, zajmuje nowy rodzaj rodziny, która opiera się na wolnym od wszelkich pęt, demokratycznym związku lotnika i nauczycielki, profesora i stewardesy, ekonomisty i robotnicy itp. Trwałość współczesnego małżeństwa zależy od istnienia między współmałżonkami przede wszystkim jedności duchowej.

Ale równocześnie, im bardziej podnosi się nasz ogólny poziom intelektualny, im głębszy staje się nasz świat wewnętrzny, w tym większym stopniu świat wewnętrzny drugiego człowieka może różnić się od naszego, co oczywiście rodzi rozmaite komplikacje."

Mieliksetian uważa, że konflikty w małżeństwie można rozwiązywać przy pomocy wzajemnej troskliwości współmałżonków, ich elastyczności, wrażliwości, umiejętności wybaczania itd. Obok czynnika materialnego i społecznego w małżeństwie autor podkreśla decydującą rolę czynnika psychologicznego i pisze:

„Mężczyzna i kobieta różnią się od siebie nie tylko swoją strukturą anatomiczną, lecz również odrębną osobowością i odrębnym sposobem myślenia. Mówi się żartobliwie, że mężczyzna więcej wie, ale kobieta lepiej rozumie. Psychika mężczyzny jest bardziej prostolinijna. Kobieta jest bardziej elastyczna, dyplomatyczna, a niekiedy nawet bardziej agresywna, ale często ma głębsze spojrzenie i widzi to, czego mężczyzna nie jest w stanie dostrzec. W dobrym małżeństwie te cechy obu płci uzupełniają się wzajemnie.

Ale co robić, jeżeli a priori taka harmonia jest niemożliwa? Jeśli z samej swej natury ludzie różnią się tak bardzo, że są po prostu przeciwstawni, czyli — jak mówią uczeni »niezgodni«? Jak im to wyjaśnić, jak ustrzec ich w porę przed fałszywym krokiem, którego logika nie może doprowadzić do niczego innego, jak tylko do rozwodu?"

W dalszym ciągu wywodu Meliksetian zastanawia się, w jaki sposób można „pomóc ludziom w tworzeniu samych tylko »optymalnych« lub chociażby tylko zbliżonych do nich par? Pomóc nie tylko w spotkaniu odpowiedniego partnera, lecz również w ustaleniu, w jakim stopniu potencjalny współmałżonek może rzeczywiście stać się przyjacielem, jak dalece jest on zgodny z daną osobowością?" **Zasadniczą pozytywną rolę przypisuje on komputerom, które określałyby cechy współmałżonków i dokonywałyby właściwego doboru małżonków. Podkreśla też znaczenie ogłoszeń matrymonialnych publikowanych w prasie oraz poradnictwa rodzinnego, które zaczyna powstawać w Związku Radzieckim.** „W Leningradzie powstała pierwsza w ZSRR poradnia w sprawach życia rodzinnego: porad udzielają znani lekarze i uczeni. W Moskwie otwarto poradnię Rodzina i małżeństwo; jej pracownicy zdołali uchronić przed rozwodem wiele rodzin. Obecnie poradnia ta wraz ze specjalistami z ogólnozwiązkowego naukowo-badawczego instytutu położnictwa i ginekologii pracuje nad stworzeniem specjalnego programu obserwacji młodej rodziny."

Godny uwagi jest pomysł przywrócenia instytucji zaręczyn. „Dużą rolę w tej pożytecznej działalności mogłoby odegrać również wskrzeszenie starej tradycji zaręczyn, z podawaniem wiadomości o nich w prasie. Socjolodzy uważają nawet, że zamiast miesięcznego okresu próby, wprowadzonego obecnie dla tych, którzy zamierzają zawrzeć małżeństwo, należy wprowadzić sześciomiesięczny okres narzeczeński, a także powołać do życia przy urzędach stanu cywilnego instytucję poradnictwa w sprawach życia rodzinnego."

OFIARY NA WYDAWNICTWO

Ks. Antoni Szarejko — zł 250, Duszpasterstwo Akademickie KUL — zł. 100, Parafia Ewangelicko-Augsburska Bierutowice — zł 200, Matylda Kamińska — zł 200.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy. Przypominamy, że ofiary na wydawnictwo „Jednota" przekazywać można na konto **PKO VIII OM Warszawa, Nr 1586-3854-136** bądź przesyłać przekazem pieniężnym pod adresem: **Administracja miesięcznika „Jednota", al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa.**

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83. Prenumerata w kraju: roczna — 92 zł, półroczna — 46 zł. Zagraniczna roczna — 184 zł. Cena numeru pojedynczego —8 zł. Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3854-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 8 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch". Zakł. Graf. W-wa, Srebrna 16, z. 267-78/O, nakł. 1 800 egz. S-21